

L. 2552/1976/13
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

NA URLOP, NA WAKACJE, DO DOMU PO PRACY TYLKO Z „KAMENĄ”!

czas. 2552/1976/13

ROK ZAŁOŻENIA 1933

KAMENA

LUBLIN 27 VI 1976 Nr 13 (603)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 Zł



©bWieś

Rys. W. Fuglewicz

CZYTAJ – STRAGAN Z LUDZKIMI
SERCAMI – STR. 11–12

MATURA 76

LITERATURA WSPÓŁCZESNA WCIAŻ W PRZEDSIONKU

Tadeusz Jasiński

„Moje pokolenie przyzwyczajone zostało do adaptacji filmowych wielkich dzieł literatury polskiej. Często się mówi, że wolimy pójść do kina niż przeczytać książkę. A jednak tak nie jest, my równie chętnie czytamy, jak i oglądamy. Filmy potrafią czasami lepiej przemówić do odbiorcy niż słowo pisane” — spowiada się w pracy pisemnej jeden z abiturientów liceum ogólnokształcącego. Inny młody autor wartościuje życie duchowe starszych i rówieśników: „Widząc i słysząc ich wypowiedzi, zdajemy sobie sprawę, że my takimi też jesteśmy. Różnimy się tylko tym, że tamci ludzie rodzą się jakby po raz drugi, mieli już wcześniej jakiś pogląd na świat, a teraz ta ich własna ideologia zmienia się i rozumieją ją na pewno słabiej niż my. Bo my, ludzie zrodzeni w dobie socjalizmu, od samego początku wiemy czego nas ucza, do czego dąży świat”. Tylko zazdrościł takiego przekonania. Przy niejednej z prac, tak kategorycznie sformułowanych, poloniści przed propozycją stopnia dostatecznego lub dobrego, z melancholią i żalem stwierdzali: „Słabą stroną jest brak poparcia rozważań przykładami z literatury i filmu”.

PRZECZYTAŁEM kilkadziesiąt prac maturalnych z tematu piątego, współczesnego, i doszedłem do wniosków dość pesymistycznych. Sięgnąłem do wypracowań abiturientów tylko z liceów lubelskich, sądzę jednak, że są one reprezentatywne dla szkół całej Lubelszczyzny — gdy chodzi o znajomość współczesnej literatury i wiedzy o polskim filmie. Odniosłem także wrażenie, że w tematyce i wiedzy o własnym kraju i jego dorobku artystycznym nieporadni są nie tylko zdający egzamin dojrzałości...

Cytowany wyżej (druga wypowiedź) młody autor jest przekonany, że jego pokolenie nie tylko szcze-

śliwie ominęło zdradliwe rafy ideologicznego błędzenia i poszukiwania, ale niejako już z „mlekiem matek” wchłonęło idee marksizmu-leninizmu, a przede wszystkim rozumie je właściwie i to lepiej od tych, które tymże mlekiem karmiły. Poloniści chwali jednak w dopisku, że ujęcie tego trudnego tematu — inteligentne i dodaje: „Praca wymagała umiejętności samodzielnego myślenia i wartościowania zjawisk, wymagała „otwartego umysłu” wobec problemów współczesności. Cenna jest od-

Dokończenie na str. 7

NAŁĘCZÓW: NADZIEJE

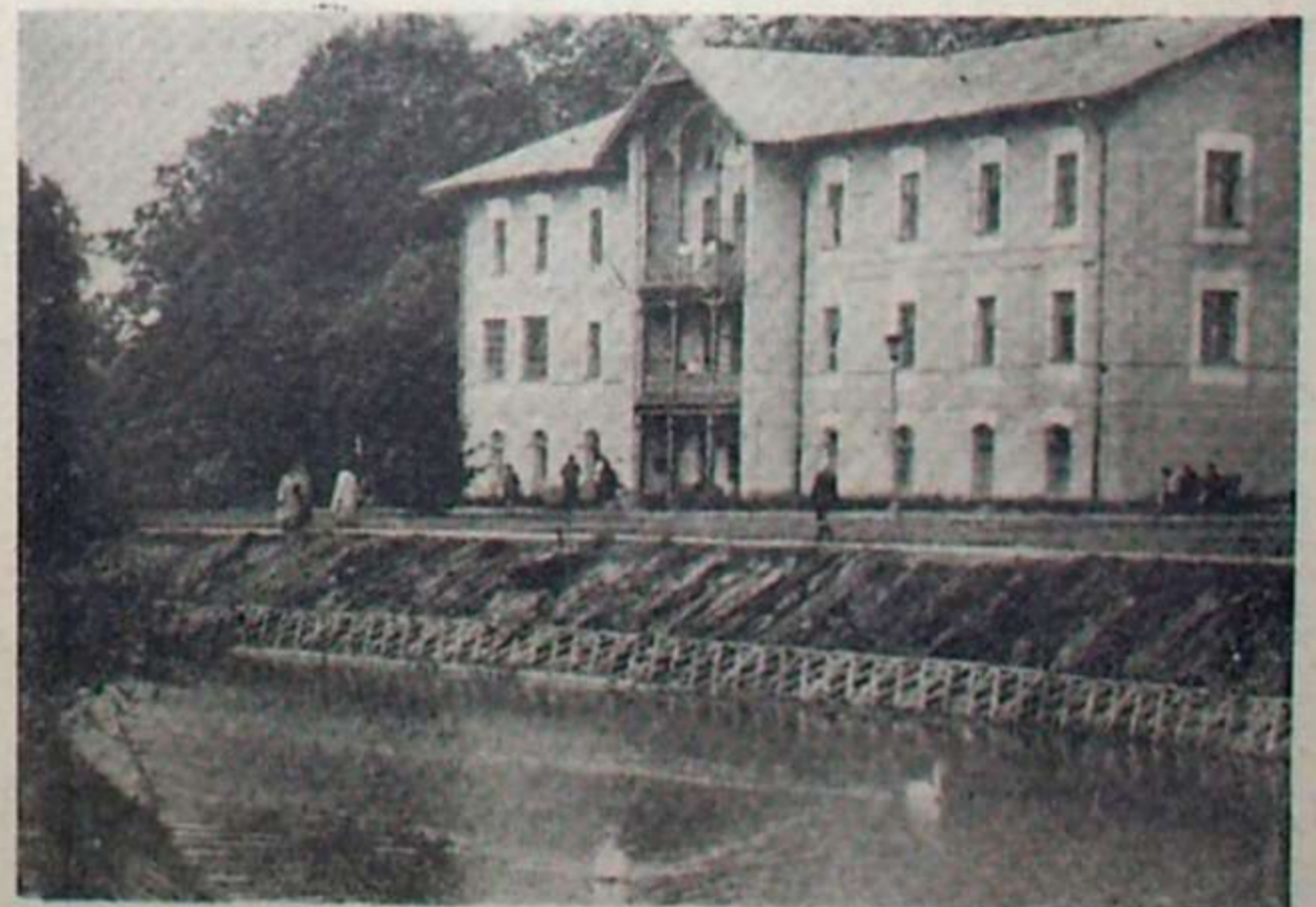
Halina Chabros

Z ZAINTERESOWANIEM przeczytałam artykuł Jerzego Do-
statniego pt. „Nałęczowskie nie-
tylko Divertimento” wydrukowa-
ny w ostatniej „Kamencie”. Temat
Nałęczowa zasługuje na szerokie po-
traktowanie i ustawiczne podnoszenie
na tzw. łamach. Już niejednokrotnie
i ja i moi koledzy po piórze stawiliśmy
w obronie nałęczowskiej zieleni, tak
beztrosko wycinanej, przeciwstawi-
aliśmy się bezplanowej zabudowie i ro-
snącym jak grzyby po deszczu dom-
kom — koszmarkom, psującym charak-
ter uzdrowiska i wykorzystywanym za-
ledwie przez trzy miesiące w roku,
kiedy to właściciele robią świetny in-
teres, wynajmując za słoną cenę poko-
je ludziom, pragnącym oddychać na-
łęczowskim powietrzem. Krytykowa-
liśmy też nie popartą żadnymi racjo-
nalnymi przesłankami budowę w cen-
trum kilkupiętrowych domów miesz-
kalnych, dyskutowaliśmy nad tym, jak
powinno wyglądać jedyne tego rodzaju
w Polsce uzdrowisko i z goryczą od-
notowywaliśmy każdy nieprzemyślany
krok stale zmieniających się władz.

mini-Domu Kultury, mini-Domu Towa-
rowego, mini-motelu albo też luksusow-
ego — jak zwą go złośliwi — pałacu
ślubów, urządzonego kosztem wyrzu-
conej z tych pomieszczeń biblioteki.
Mówiło się nawet o budowie strzelnicy
i mini-wieży Eiffla z obrotową kawiar-
nią.

Tragedią Nałęczowa było planowanie
na wczoraj, a nie na jutro, nieprze-
myślane inicjatywy, brak koncepcji i
spojrzenia w przyszłość, choć już od
dość dawna było wiadomo, że Nałę-
czów ma stać się uzdrowiskiem z
prawdziwego zdarzenia, z odpowiednim
zapleczem socjalno-usługowym. W
ostatnich latach rosła w szybkim tem-
pie nowe sanatoria zakładów, a inne
instytucje mają już lokalizację, wydana,
zanim jeszcze gotowa była ekspertyza
analizująca czynniki uwarunkowania
nałęczowskiego mikroklimatu, określa-
jąca strefy objęte tym mikroklimatem
i liczbę kuracjuszy, którą można tu
ulożować, a także zanim narodził się
rozpisany dopiero w maju br. konkurs
na plan zagospodarowania przestrzen-
nego Nałęczowa.

Dokończenie na str. 8



Fot. J. Trębicka

OWOCNE SPOTKANIE NAD RENEM

Marek Adam Jaworski

NIGDY dotąd prasa zachodnio-niemiecka nie przeznaczyla tyle miejsca polskiej problematyce, ile w czasie wizyty Edwarda Gierka w RFN. Różne publikacje, utrzymane przeważnie w ciepłym i rzeczowym tonie, można już liczyć nie na dziesiątki, ale na setki. Popularny tygodnik „Der Spiegel” w numerze z 7 czerwca poświęcił ok. siedemnastu stron naszemu krajowi, zamieszczając m. in. obszerny wywiad, jakiego I Sekretarz KC PZPR udzielił wydawcy pisma, Rudolfowi Augustinowi. Określenie „historyczna wizyta” powtarzało się najczęściej.

O tym, że społeczeństwo RFN bardzo interesuje się życiem współczesnej Polski, miałem niejednokrotnie możliwość przekonać się w czasie ubiegłorocznego pobytu w tym kraju. Koalicja socjalliberalna odrzuciła stare schematy, realnie oceniła układ sił w Europie, wyciągając konkretne wnioski dla swej polityki. Podpisane w 1970 roku układy między ZSRR i RFN o rezygnacji z użycia siły, między PRL a RFN — o podstawach normalizacji stosunków, a także układ podstawowy między RFN a NRD (1972 r.), nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Niemcami zachodnimi a Czechosłowacją, Węgrami i Bułgarią oraz wreszcie wyniki wielkiego spotkania na szczycie w Helsinkach — w tym również porozumienie zawarte przez I Sekretarza KC Edwarda Gierka i kanclerza Helmuta Schmidta — wszystko to stworzyło odpowiednie warunki do ostatniej wizyty naszego przywódcy nad Renem, wizyty, której wyniki okazały się nadzwyczaj owocne.

Z Niemiecką Republiką Demokratyczną, z którą łączy nas wspólnota ideowa, ułożyliśmy sobie stosunki już dawno. Układ Zgorzelecki (lipiec 1950 r.) o wytyczeniu ustalonej i istniejącej granicy państwowej na Odrze i Nysie Łużyckiej był pierwszym międzynarodowym układem NRD. Ten fakt wymownie świadczył o tym, jaką wagę przywiązuje NRD do przyjacielskiej współpracy z Polską. Niestety, wiele jeszcze czasu minęło, dopóki Zachód, a zwłaszcza drugie państwo niemieckie — RFN, uznał realia powojennej Europy. Bez przesady można powiedzieć, że w dużej mierze zaważył tu wzrost autorytetu Polski na arenie międzynarodowej, będący konsekwencją naszego czynnego uczestnictwa w wspólnocie socjalistycznej. Polska należy dziś pod względem produkcji przemysłowej do grona pierwszej dziesiątki państw przemysłowych świata. Jej dynamiczny rozwój, zwłaszcza w latach 1971—1976, z podziwem obserwują nawet dawni sceptycy spośród zachodnich kół gospodarczych, mających bezpośredni wpływ na sprawy polityczne.

I taką Polskę, nowoczesną, z jeszcze większymi perspektywami na przyszłość, reprezentował Edward Gierek na ziemi zachodniemieckiej. W swoich wystąpieniach, uważnie słuchanych i wnikliwie komentowanych, starał się, nie zapominając bynajmniej o gorzkiej lekcji historii, stwarzać odpowiedni klimat do przezwyciężenia tragicznej przeszłości i budowania mostów ku wzajemnej współpracy w interesie nie tylko obu narodów, ale w interesie wszystkich narodów europejskich.

Przywódcy RFN, a zwłaszcza kanclerz Helmut Schmidt, również nie przemilczali okrucieństw hitlerowskich. Przeszłość nie może jednak stale przesłaniać przyszłości. Pokolenie urodzone zaraz po wojnie ma już synów i córki — nad Wisłą i nad Renem. Zagazowanym, rozstrzelanym, powieszonym nikt życia nie wróci. Wiemy o tym i pamiętamy. Ale pamiętamy również i o tym, że pierwsze hit-

lerowskie obozy koncentracyjne powstały na ziemi niemieckiej i że ich pierwszymi więźniami byli niemieccy obywatele, antyfaszyści. Nieprzypadkowo Edward Gierek niemal bezpośrednio po przyjeździe odwiedził teren b. obozu hitlerowskiego w Neugamme obok Hamburga, gdzie złożył pod pomnikiem męczeństwa olbrzymi wieniec z 500 białych i czerwonych goździków. W tym właśnie obozie przebywał zmarły w 1953 r. przywódca SPD, Kurt Schumacher. Wśród 55 tysięcy więźniów 22 narodowości, którzy tu zakończyli życie, znajdowało się kilka tysięcy Polaków...

Program pobytu I Sekretarza KC PZPR w RFN należał do niezwykle pracowitych. Rozmowy z zachodni-niemieckimi mężami stanu, przywódcami wszystkich partii politycznych, działaczami gospodarczymi i społecznymi... Wszystkimi partii, a więc i z przewodniczącym Niemieckiej Partii Komunistycznej, Herbertem Miesem, a także z chadeckim kandydatem na kanclerza, Helmutem Kohlem, bowiem wizyta wybiegała poza ramy układów partyjnych. Odbyło się również spotkanie z górnikami kopalni węgla kamiennego „Rheinpreussen” w Moers, przy której rozbudowie są zatrudnieni polscy specjaliści. Klimat był tu szczególnie serdeczny, wpłynęła na to zapewne i ta okoliczność, że Edward Gierek sam kiedyś przez 17 lat pracował w tym trudnym zawodzie.

Istotne znaczenie dla całokształtu stosunków między Polską a RFN miało spotkanie z grupą najwybitniejszych przemysłowców zachodni-niemieckich w Duesseldorfie. Prezesi takich koncernów, jak Krupp, Mannesmann, Siemens, Telefunken, Hoechst, mieli możliwość zapoznać się i z osobą i z opiniami Edwarda Gierka. Otwartość gościa z Polski, znakomita znajomość przedmiotu wywarły na wszystkich zebranych duże wrażenie.

Bilans wizyty stanowią niezwyklej wagi dokumenty: wspólne oświadczenie, pięcioletnia umowa gospodarcza, umowa kulturalna, protokół o rozszerzeniu współpracy gospodarczej, umowa z koncernem Kruppa o współpracy naukowej i technicznej w dziedzinie gazyfikacji węgla, w sumie 14 konkretnych porozumień w sprawie wymiany towarowej, kooperacji przemysłowej i wspólnych działań na rynkach trzecich.

Wspólne oświadczenie — przypomnę tutaj — podkreśla, iż obie strony będą w dalszym ciągu występować na rzecz pogłębienia i stałego rozwoju procesu odprężenia, który powinien mieć trwały i wszechstronny charakter. Obie strony wyrażają zamiar poświęcenia szczególnej uwagi i usilnego popierania swych stosunków gospodarczych i intensyfikacji współpracy przemysłowej. Obie strony uważają też dalszy rozwój współpracy kulturalnej za ważny cel wspólnych wysiłków.

Polska i RFN uzgodniły ciągłą kontynuację dialogu politycznego oraz prowadzenie regularnych konsultacji ministrów spraw zagranicznych i ich współpracowników co najmniej raz w roku na tematy bilateralne i międzynarodowe.

Oświadczenie odwołuje się do postanowień Aktu Końcowego Konferencji w Helsinkach. Jest to nad wyraz słuszne: Konferencja ta utorowała drogę do wzajemnego zbliżenia.

Chciałbym zwrócić uwagę na wspomnianą wyżej umowę z koncernem Kruppa. Berthold Beitz, przewodniczący rady nadzorczej koncernu Kruppa, w wywiadzie dla svingerowskiej „WELT AM SONNTAG”, na pytanie jakie efekty przyniosły gospodarce zachodni-niemieckiej zawarte transakcje oświadczył: *Przyniosły nowe rynki i więcej zagwarantowanych miejsc pracy na lata całe. 14 transakcji da efekty w szczególności w dziedzinie budowy obiektów chemicznych, w przemyśle*

liardów marek. Jeszcze nigdzie na świecie nie ma takiego kombinatu, jaki ma powstać w Polsce w wyniku tej umowy. Gaz pochodzący z węgla będzie stanowił surowiec dla wielu produktów, ważnych i dla naszej gospodarki i dla gospodarki całej Europy. W wieku XX wkroczyliśmy w wiek XXI.

Charakterystyczne, że bilans wizyty Edwarda Gierka nad Renem spotkał się z jednoznacznością, życzliwością, jeśli nie entuzjastyczną, oceną prasy niemal całego świata, niezależnie od reprezentowanych kierunków politycznych. Bilans ów dowiódł, że to, co nazywamy „duchem Helsinek”, materializuje się w konkretnych poczynaniach. Proces odprężenia międzynarodowego, mimo iż nie zawsze przebiega tak, jakbyśmy sobie tego życzyli, jest nieodwracalny. I jeśli Europa, na której terytorium rozpoczęły się dwie wojny światowe, pokazuje innym kontynentom, jak należy rozwijać dobrosąsiedzkie stosunki we wzajemnym interesie, służąc sprawie budowania a nie burzenia, jak należy przewidywać dawne, niekiedy i wiekowe, animozje, stanowi to znamienny znak czasu. Budzi też nadzieje co do dnia jutrzejszego całej ludzkości, tęskniącej od wieków za trwałym pokojem.



W Urzędzie Kanclerskim w Bonn: Edward Gierek, Helmut Schmidt i ministrowie spraw zagranicznych — Stefan Olszowski i Hans-Dietrich Genscher



Edward Gierek i Helmut Schmidt w kopalni węgla „Rheinpreussen” w Moers



Edward Gierek na rynku w Linz
Zdjęcia nadesłane specjalnie dla „Kamena” przez Inter
Nations — Bonn

Z RAPORTU MO: „W dniu 19 stycznia 1975 roku o godz. 8.25 rano komenda MO w Lublinie została telefonicznie powiadomiona przez posterunek w Milejowie, że w miejscowości Klarów, obok swych zabudowań, popełniła samobójstwo przez powieszenie się Kazimiera Kowalska, lat 39, matka pięciorga dzieci. Poprzedniego dnia zameldowała na posterunku w Milejowie o znęcaniu się nad nią przez męża, nalógowego alkoholika”.
Z listu 12-letniej Ewy, przesłanego do więzienia: „Kochany Tatusiu. W pierwszych słowach listu pozdrawiam Ciebie serdecznie wraz z siostrami. Tatusiu, napisz mi, czy jesteś zdrowy, czy nie

chorujesz. Ja jestem w Piotrkowie wraz z dziadkami. Uczę się bardzo dobrze i jest mi tam dobrze. Wszystkiego mam pod dostatkiem. Święta spędziłam u cioci na Bonowie, a dziadki u babci na Klarowie. Andrzej jest w Garbowie, dobrze się uczy, na czwórkach i piątkach, bardzo dobrze wygląda, jest bardzo uprzejmy i szlachetny. Przywieziemy Andrzeja na ferie, jeśli go puszcza. W Piotrkowie mamy bardzo dobrą wychowawczynię, która się nami dobrze opiekuje. Na tym kończę list i czekam na odpis. Mój adres: Ewa Kowalska, Państwowy Zakład Wychowawczy, Piotrków, woj. Lublin”.

Klarów, niewielka wieś, położona tuż koło Milejowa. Dojechać tam wiosną i jesienią nie sposób. Milicyjnym gazikiem przejeżdżamy przez drewniany mostek, utykając co chwila w głębokich koleinach rozmiękłej ziemi. Jest późny wieczór, z ciemności wylaniają się światła pierwszych chałup. Docieramy do domu soltysa, Wacława Jususia. Z tapczanu podnosi się mężczyzna w średnim wieku, niezbyt zadowolony z przerwanej odpoczynku. Za godzinę wybiera się do pracy w świdnickiej WSK, dokąd codziennie dojeżdża, jak większość jego sąsiadów, reprezentujących typowe środowisko chłopo-robotników.

— Co ja mogę powiedzieć o Stefanie Kowalskim? Tam była kłeska, to był człowiek mało zaradny. Może nie był alkoholikiem, ale wypić lubił. Dom mu się walił, nie miał najmniejszego zaplecza, matka i ojczym też mu nie podali ręki do życia. Nie jego bym zamykał, tylko ich, bo jemu w więzieniu jest lepiej niż na wolności.

— On pił, znęcał się nad nią — wtrąca się soltysowa — aż jej uszami krew wychodziła. Do nikogo się nie skarżyła, cieszyła się dziećmi, swoim domem i swoją biedą. Ci ludzie ginęli, a każdy się patrzył.

— Nic nie mów, na co ci to potrzebne. Innych jeszcze popytajcie, ja wam wskażę — wtrąca soltys.

— Co mogła, to gotowała dzieciakom — kontynuuje nie zrażona uwagą męża — butelki zbierała, chodziła na jagody, drzewo znosiła z lasu, bo przecież nie miała czym opalać tego mieszkania. Wszyscy patrzyli na to przez palce, wiele zła zrobiła wódka i stało się. Mogli dać jej jakieś mieszkanie zastępcze, a nic nie pomogli. Tam się dosłownie im lano na głowy.

— Jak deszcz padał, to w kącie rozkładała folię — zaczął wreszcie mówić soltys — i dopiero spali. A jemu nie chciało się przychodzić do domu. Był dozorcą GS i jak lano, to spał w kotłowni. Każdy wierzył, że oni sobie wreszcie poradzą. Dać pomoc z gminy? No jak? Człowiek młody, matka na miejscu, ojczym na miejscu, wydawało się, że rodzina pomoże. Kowalski był leniem.

Kiedy opuszczamy mieszkanie, soltysowa dodaje na progu:

— Jak się dowiedziałam, że się powiesiła, to płakałam, bo zostawiła pięciorgo dzieciaków. Wziąć sznurek, dzieci

położyć spać i powiesić się pod oknem — ja bym tego nigdy nie zrobiła. Poszłabym przecież do jakichś władz, czy do rady gromadzkiej czy gdzieś indziej, musieliby pomóc. Powiesić się, to żadne wyjście.

Z okien Pytlaków widać dokładnie walącą się chałupę Kowalskich, a tuż obok zrab niewykończonego domu, które w pierwotnym zamiśle miało służyć za oborę.

— Jak tam u Kowalskich było? — powtarza pytanie Pytlakowa o której we wsi mówiono, że wie wszystko, co tam się działo. — No, nie wszystko widziałam.

— Śmiało — krzyczy soltys. — Nic się nie bój, gadaj.

— Tam było tragicznie, w tej rodzinie, była wielka bida. On, można powiedzieć, że pił, bo widziałam, jak ja nieraz po pijanemu ganiał, ona uciekała, dzieciaki nosiła pod pachami, tylko im się nogi fajtały. To widziałam. Lało się, bo nie było dachu, a nie miał kto poprawić. Połowę mieszkania się zawałiło, upadł sufit i tak siedzieli w tym.

— Nigdy nie narzekała, nigdy nie powiedziała, że jej to życie obrzydło. Zawsze mówiła: „Jak mi dzieci dorosną, to mi się ulży”. I ulżyło się. Jak bym to osądziła? Przecież mogłaby w to wejrzeć matka, ojczym, a także władze gminne. Może by się zapobiegło biedzie. A on miał taką pracę, że się nie napracował. Młody chłop poszedł za stróża i leżał, bo mu się robić nie chciało. Wszyscy widzieli.

Tak, wszyscy widzieli ten dramat rozgrywający się od wielu lat, a jednak nikt nie zapobiegł nadchodzącej tragedii.

Z Klarowa do Milejowa niedaleko. W tej niewielkiej osadzie nie tylko wszyscy się znają, lecz również wiele wiedzą o sprawach mieszkańców okolicznych wsi. Czy wobec tego możliwe, aby tragedii Kowalskich nie znano w gminie?

— Trudno w naszej gminie spoznać wszystkie komplikacje ludzkiego życia — mówi mgr inż. Marek Olesiewicz, naczelnik Urzędu Gminnego w Milejowie. — Niejednokrotne sygnały o tych sprawach dochodzą do nas nawet poprzez Warszawę. Mamy około 11 tysięcy mieszkańców w gminie! Od społeczeństwa należy spodziewać się prawidłowej reakcji na zło, które bezpośrednio widzą. Niestety, dominuje znieczulica, chowanie głowy w piasek, widzenie tylko własnego „ja”. My ze swej strony staramy się uwzględniać wszystkie potrzeby — na miarę naszych możliwości.

! Ilka miesięcy wcześniej zanim doszło do tragedii w Klarowie, za sprawą Kowalskich zetknął się sekretarz Urzędu Gminnego.

— Właściwie przypadek... Kiedyś z soltysem Klarowa zaszedłem do Kowalskiego i to, co zobaczyłem, nie mogło pomieścić się w głowie. Jedna izba skromna, łóżko pełne betów, padał deszcz i z sufitu kapalo na łóżko, a ściany prześwitwały. Zwróciłem się do Kowalskiego, żeby złożył do nas podanie o pomoc. To wszystko nie działo się na pustyni. Czy można było temu zapobiec? Myślę że tak. Gdybym z soltysiem nie zaszedł, to nie znalbym tej sprawy, ponieważ nie było żadnych głosów o pomoc.

Niestety, na nasze pytania, jakie kroki zostały podjęte przez miejscowe władze, nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Sprawy nie nadano żadnego biegu urzędowego, a kiedy udzielono pomocy, było już na nią za późno. A w Urzędzie Gminnym jest przecież referat opieki społecznej, którego zasadniczym zadaniem jest przeprowadzanie wywiadów środowiskowych oraz niesienie pomocy najbardziej potrzebującym. Pierwszą zapomogę pieniężną, jak wynikało z przedstawionych dokumentów, przeka-

zano dzieciom w dniu 21 stycznia, a więc w trzy dni po tragicznej śmierci Kazimiera Kowalskiej. Pod tą samą datą figuruje pierwszy wywiad środowiskowy, na którego podstawie udzielono zapomogi. Przytoczonej wyżej relacji sekretarza Urzędu Gminy nie ma w aktach. Stąd nasuwa się wniosek, że mimo iż władze wiedziały o losie dzieci Kowalskich, to jednak nie zareagowały w porę.

W rozmowie, którą przeprowadziłem w Urzędzie Gminy, uczestniczył prezes miejscowego GS, Jan Niewiadomski, zwierzchnik Stefana Kowalskiego.

— O Kowalskim dowiedziałem się od pracowników GS, kiedy u niego nie

zszedłem do GS na dozorcę. Do domu dawałem prawie wszystko, trochę długów było w kasie.

— Mówią, że był pan alkoholikiem.

— A skąd, żeby kto tak widział, jak ja siedziałem w knajpie! Przecież nie byłem ani na posterunku, ani w izbie wytrzeźwień. Z żoną żyło się rozmacie, jak to w domu i dobrze i źle. Dobrze było przeważnie. Aby się komu noga potknęła, to każdy tak gada: Z nikim konszachcóm nie prowadziłem. Bez ludzi to się stało, bez sąsiadów. Szkoda mi dzieci, ja je lubiłem, wszystkie. Co miałem to niosłem do domu.

— Pana dom to przecież rudera.

— To nie był mój dom, spadkobierców, ciotki i matki. Domu nie opłacało się remontować. Chciałem nowy budynek stawiać, bo dostałem w GS pożyczkę, ale szło to powoli. Szkoda i kobiety i dzieci. Uważam, że jestem w porządku wobec dzieci. Ewa napisała do mnie, jeszcze nie odpisałem. Jak wyjdę, to wezmę dzieci do siebie, chyba wszystkie. Czy swoje, czy obce, ja lubię dzieci. Trzeba pracować, żeby im coś kupić. Kocham dzieci, brakuje mi ich. Bardzo często zastanawiałem się nad tym, co się stało. Dopóki będę żył, to będę gadał, że to bez sąsiadów.

— Swojej winy Kowalski nie uznaje — powiedział naczelnik wydziału penitencjarnego więzienia — ale osiem lat pracował jako rozlewacz wina. Pracował też przez pewien czas w transporcie, przy rozładunku wagonów, gdzie, jak mówił, z kolegami często się piło. W zakładzie chce dobrze pracować i dobrze pracuje, podwyższyli mu zarobki do 75 proc. z myślą o jego dzieciach. Uważam, że na tym, co się stało, zaważyło jego wychowanie oraz styczność z alkoholem.

Z akt sądowych:

„Wyrokiem z dnia 12.IX.1975 r. Sąd Rejonowy w Lublinie uznał Stefana Jana Kowalskiego za winnego tego, że w okresie od 1970 r. do 18.I.1975 roku w Klarowie woj. lubelskie, będąc przeważnie w stanie nietrzeźwym, znęcał się nad żoną Kazimierą, bijąc rękami, kopiąc butami i znieważając słowami powszechnie uznanymi za obelżywe oraz grożąc zabójstwem, w następstwie czego Kazimiera Kowalska, w nocy z 18/19.I.1975 r. targnęła się na życie, po-

Dla Tatusia.

Tam daleko w mętnej fali tam gdzie ptaki ucho bry tam się mała gwiazdka pali, a tą gwiazdka

jestes ty, Tatusiu.

Dnia 11. Kwiecina

*Kowalska
Ewa*

Klarów

„Ewa napisała do mnie...”

szalem, że było tam bardzo krytycznie... To nie stało się w ciągu jednego miesiąca, to narastało. Można było tragedii zapobiec.

Zakład podobny do innych zakładów karnych. Spotykamy się wreszcie z tym, który jako bezpośredni sprawca opisywanych przez nas wydarzeń, będzie musiał tu spędzić sześć długich lat. Na ile czuje się winny?

— Dlaczego żona się powiesiła? — zszczyły i niewysoki, 33 letni mężczyzna z trudem formuluje swoje myśli. — Sąsiadów się słuchala i to bez sąsiadów się powiesiła. Buntowali ją sąsiady przeciwko mnie, żeby mi na złość zrobić... Od małego cały czas byłem ze starszymi ludźmi, podstawówki nie ukończyłem, tylko trzy klasy. Matka się drugi raz ożeniła i poszła na osobno. Jak się żeniłem, miałem 19 lat; ciężkie były w domu warunki i dlatego ożeniłem się. Ja tak teraz sobie mówię, że powinni mnie zamknąć, jak miałem 18 lat, to dopiero bym się życia nauczył. Osiem lat robiłem w Milejowie na winiarni, warunki mi nie odpowiadały, bo tam cały czas było w wodzie. To po-

pełniając samobójstwo przez powieszenie się na drzewie obok swojego domu.

Za czyn ten Sąd skazał oskarżonego na mocy art. 184 § 2 kk na sześć lat pozbawienia wolności”.

Wyrok ten zaskarżył obrońca oskarżonego. Sąd Wojewódzki w Lublinie utrzymał w mocy zaskarżony wyrok, stwierdzając:

„Stefan Kowalski musiał zdawać sobie sprawę z tego, w jakich warunkach żyje jego rodzina, powinien też przewidzieć, że swoim zachowaniem doprowadza żonę do ostateczności. Nawet niski poziom intelektualny nie zwalnia od powinności takiego przewidywania. Sytuacja, w jakiej znalazła się K. Kowalska, zapowiadała tragedię i oskarżony powinien zdawać sobie z tego sprawę. Zdaniem Sądu Wojewódzkiego także kara pozbawienia wolności wymierzona oskarżonemu nie jest rażąco surowa”.

Czy tylko Stefan Kowalski jest jednak winien tragedii, która wydarzyła się w Klarowie?

WYDAWNICTWO LUBELSKIE BILANS 15-LECIA

Ryszard Dunin

Od czasu zorganizowania w Lublinie, w miejsce Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej, przedsiębiorstwa państwowego pn. Wydawnictwo Lubelskie minęło już 15 lat. W historii tej placówki szczególne miejsce zajmują lata 1971—1975, w których nastąpiło podwojenie produkcji egzemplarzowej, wzrosła w sposób odczuwalny liczba i jakość tytułów książkowych kierowanych do sprzedaży, a także wielkość produkcji arkuszowej. W okresie tym opublikowano 237 pozycji o objętości przekraczającej 3 tys. arkuszy wydawniczych w nakładzie sięgającym 4,3 mln egzemplarzy.

WYDAWNICTWO w minionym 5-leciu położyło szczególny nacisk na problematykę współczesną, dotyczącą początków władzy ludowej oraz jej 30-letniego dorobku. Urukowano nowy cykl wydawniczy „Lubelszczyzna w Polsce Ludowej”, inicjując go pracą I. Cabana i E. Machockiego „Za władzę ludu”. Inne publikacje z tego cyklu to: „Kronika wydarzeń w Lublinie. 21 VII 1944 — 1 II 1945” w opracowaniu T. Chabrosa, „Prasa lubelska 1944—1974” A. Gzelli, „Powstanie i umacnianie władzy ludowej na terenie powiatu zamojskiego” W. Patrykiewicza, „Lubelszczyzna w 25-leciu PRL” J. Dostatniego, „Początki władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie” E. Olszewskiego,

„Kronika budowy puławskich Azotów” A. Radczak-Mańkowskiej, „Kształtowanie się funkcji prezydium rady narodowej” J. Szreniawskiego oraz tomy reportaży: L. Gnota „Lubelszczyzna. Dzieje. Ludzie. Krajobrazy”, R. Karasia „Na tropie anonimu” i tom zbiorowy — „Tylko Wisła płynie, jak płynęła”. Problematykę współczesną uwzględniały także „Rocznik lubelski” i „Kalendarz Lubelski”.

Kontynuując tematykę okupacyjną opublikowano m.in.: „Kalendarium walk Gwardii Ludowej i Armii Ludowej na Lubelszczyźnie” E. Gronczewskiego, „Przesiedlenia ludności przez III Rzeszę i jej sojuszników podczas II wojny światowej”, „Walczymy razem” W. Góry i M.

Juchniewicza (o współdziałaniu polskich i radzieckich partyzantów), „W białostockich lasach” M. Gnатовskiego (wspomnienia polskich i radzieckich partyzantów), „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w okręgu lubelskim” I. Cabana i Z. Mańkowskiego (nagroda „Polityki”), szkice L. Siemiona „Z lat okupacji hitlerowskiej na Lubelszczyźnie”, W. Sulewskiego „Leśne fronty” i C. Leżeńskiego „Żołnierskie drogi” oraz wiele prac wspomnieniowych i pamiętnikarskich, między innymi S. Chwiejczaka „Kołaczasty trakt”, W. L. Diegteriewa „Zwyciężając śmierć”, S. Gogołowskiej „Z pamiętnika więźniarki Buchenwaldu”, A. Majewskiego „Zacząło się w Tobruku”, J. Sobiesiaka „Przebraże” i „Brygada Grunwald”, J. Sobiesiaka i R. Jegorowa „Ziemia płonie” i „Burzany” oraz T. Szymańskiego „My ze spalonych wsi”.

Uzupełnieniem tej problematyki były przewodniki po Majdanku i Rotundzie Zamojskiej oraz po miejscach pamięci w b. powiecie lubelskim, a także pozycje z serii „Miniatury”, m.in. M. Dereckiego „Śla-

dami Hubalczyków”, R. Glińskiego „Wierni tradycji”, C. Leżeńskiego „Konspiracyjna fabryka broni”, L. Siemiona „Kapitulacji nie będzie” i W. Wójcikowskiego „Wojenne losy dzieł Matejki”.

Regionalna problematyka historyczna podejmowana była w kilkudziesięciu tytułach; szereg pozycji poświęcono Lublinowi. Między innymi opublikowano II tom „Dziejów Lublina”, „Historię Lublina w zarysie”, stanowiącą popularny zarys dziejów miasta od czasu jego narodzin, oraz tom szkiców „O dawnym Lublinie” Henryka Gawareckiego.

Prace historyczne dotyczyły także ruchu ludowego. Między innymi problematyka ta znalazła się w pracy Henryka Cimka „Zjednoczenie lewicy chłopskiej Samopomoc” oraz Jana Jachymka „Oblicze społeczno-polityczne wsi lubelskiej 1930—1939”.

Obok publikacji podejmujących problematykę naszego regionu ukazywały się również prace o tematyce ponadregionalnej m.in.: „W świecie anglosaskim” Henryka Zinssa, „Kierunki rozwoju politycznego Kuby (1902—1958)” Wacława Morawskiego.

Łącznie z dziedziny literatury społeczno-politycznej opublikowano w latach 1971—1975 ponad 100 tytułów obejmujących zagadnienia historyczne, współczesne, specjalistyczne — w opracowaniu naukowym, popularnonaukowym i popularnym.

Drugi podstawowy dział edytorski Wydawnictwa Lubelskiego to literatura piękna oraz książki dla dzieci i młodzieży. W okresie pięciu omawianych lat opublikowano ponad 130 tytułów o takim profilu, realizując m.in. dwa poważne przedsięwzięcia edytorskie: 12-tomowe „Dzieła” Ewy Szelburg-Zarembiny, oraz „Pisma” Kazimierza Andrzeja Jaworskiego w 12 tomach obejmujące podstawowy dorobek twórcy tego autora.

Smutek antykwariatów

Jerzy Dostatni

W STAROŻYTNOŚCI nie było zapewne antykwariatów we współczesnym pojęciu, ludzie jednak książkami i dokumentami handlowali — wymieniając je zresztą nie zawsze na pieniądze, ale również na takie czy inne zaszczyty. Coś podobnego do antykwariatu musiało jednak istnieć w starożytnym Rzymie, bo przecież słowo „antiquarius” pochodzi od łacińskiego „aniquarius”, oznaczającego człowieka, zajmującego się handlem dziełami sztuki i kultury materialnej.

Wobec takiej tradycji aż wstyd powiedzieć, że w dawnym województwie lubelskim mieliśmy zaledwie trzy antykwariaty, w tym tylko jeden państwowy, prowadzony przez Dom Książki. Wszystkie trzy do dzisiaj istnieją w Lublinie, co oznacza, że województwa białkopodlaskie, chełmskie i zamojskie nie mają żadnego. Można więc z całą pewnością stwierdzić, że część starych książek niszczy się albo na strychach, albo — nie konserwowane — w szafach bibliotecznych, a druga część jest przedmiotem pokątnego handlu, co powoduje, iż wiele cennych pozycji ląduje w rękach kombinatorów, którzy kupują te książki nie z bibliofilskiej miłości, ale dla spekulacji. Spekulacji, która często prowadzi do przemytu, a więc do trwałego zubożenia naszego dorobku kulturalnego.

Antykwariat Domu Książki przy ul. Królewskiej w Lublinie nie grzeszy ani wyglądem, ani wielkością. Można w nim z powodzeniem handlować rzodkiewkami i sałatą, osiągając nawet wyższe niż obecnie obroty (około 60 tys. zł miesięcznie). Dom Książki ma tu pretensje do władz miejskich, że lokalizację na biurowiec i dużą księgarnię

dały aż przy ul. Lotniczej, niemal na granicy miasta, a pozostają głuche na propozycje urządzenia wielkiego kombinatu księgarsko-antykwarycznego przy ul. Dąbrowskiego, tuż za kawiarnią Ratuszową. Władze odpowiadają, że jeszcze większe pomieszczenia będą na Starym Mieście, ale wiadomo, że wielce swego czasu reklamowana rewaloryzacja Starego Miasta wlece się w żółwym tempie i że zlokalizowanie tam antykwariatu nawet w przyszłym roku oznaczałoby raczej pogorszenie sytuacji — jeżeli chodzi o obroty.

Z drugiej strony Dom Książki żyje handlem książkami nowymi, wśród których wprowadzić nie ma nadmiaru bestsellerów, ale cegiel jest znacznie mniej niż przed laty. Dyrektor Domu Książki, Władysław Wójcik, powiada, że — na ogół biorąc — nowe książki idą jak woda. A ponieważ Dom Książki jest przedsiębiorstwem handlowym, chociaż o profilu kulturalnym, nie dziwnego, że dba przede wszystkim o to, co łatwiej zdobyć i łatwiej sprzedać.

Antykwaryczny handel książkami cierpi zaś nie tylko na więcej niż dotkliwy brak lokali, ale w równym stopniu na brak antykwaryusza. Właściwie tylko jedna pracownica, kierowniczka antykwariatu przy ul. Królewskiej, posiada teoretyczne i praktyczne kwalifikacje, druga osoba dopiero się uczy, a praktykantka ma zaledwie zielone pojęcie i wcale nie wiadomo, czy zdecydować się tu na stałe pozostać. Jest jeszcze jeden fachowiec, ale przed dziesięciu laty zmienił profesję na bardziej intratną, zaś absolwentka kursu antykwarycznego przy Uniwersytecie Warszawskim w antykwariacie pracować nie będzie i już.

Prawdziwy antykwaryusz zresztą powinien legitymować się nie tylko dyplomem, ale przede wszystkim zamiłowaniem bibliofilskim i długoletnią praktyką. Wprowadzić niektóre antykwaria-

ty wydają katalogi z cenami, ale — po pierwsze — nie wszystkie dawne książki mogą tam być wymienione, po drugie — ceny się zmieniają wraz z popytem i podażą, a rzadko ukazujące się katalogi są z reguły mustardą po obiedzie. Stąd co bardziej odważni antykwaryusze placą za rarytasy więcej niż przewiduje katalog, ale potem są kłopoty z różnymi kontrolami, które zaraz węższą jakiegoś nieczyste interesy. (Które zresztą też się zdarzają).

Sam niedawno doświadczyłem, jak różna może być interpretacja katalogowych wskazań. Tuż po wojnie na jednym z wrocławskich śmietników znalazłem książkę, której tekst nie był rewelacją: Biblia po łacinie i po greku w jednym tomie. Ale z różnicą kilkunastu lat był to prawie inkunabuł — II wydanie Erazma z Rotterdamu. W antykwariacie przy ul. Królewskiej — później okazało się, że pod nieobecność kierowniczkę — zaferowano mi 400 złotych. Książkę sprzedałem jednej z bibliotek za 2000 złotych — i jeszcze mi serdecznie podziękowano.

Wierny zasadom handlowym Dom Książki obłożył swoje antykwariaty niemal prohibicyjną marżą. Pobiera mianowicie 33 procent od ceny sprzedaży, co w praktyce oznacza, że do ceny żądanej przez sprzedającego dolicza 50 proc. Księgowi może to jakoś uzasadniać, ale faktem jest, że w rezultacie posiadacze i potencjalni nabywcy cennych czy poszukiwanych książek spotykają się albo na targach staroci, albo też znajdują się poprzez prywatne znajomości, czy po prostu kojarzy ich swoisty węch bibliofilski. Tak czy inaczej wiele cennych pozycji miażdżąc pośrednictwem antykwariatów trafia do bibliotek lub archiwów, co często kończy się przemytem. W tych finansowych dywagacjach ktoś zapominał jeszcze, że w czasie okupacji uległo zniszczeniu ponad 60 proc. zasobów

naszych bibliotek i że przy utrzymaniu dotychczasowego stylu — stracił tych nigdy nie uzupełniony.

Zupełnym nieporozumieniem zaś jest fakt, że antykwariaty Domu Książki w ogóle nie mogą handlować starymi dokumentami. Jeżeli więc ktoś przyniesie np. przywilej szlachecki nadany przez królego z naszych królów, pojedynczy egzemplarz jakiejś gazetki konspiracyjnej, którego nie posiada żadna biblioteka — po prostu odeśle się go z kwitkiem. Nie będzie to kwitek do kasy, ale ten przysłowiowy.

Jak już wspomniałem, lubelski Dom Książki zatrudnia tylko dwie antykwaryuszki, w tym jedną z pełnymi kwalifikacjami. W tej rozpaczliwej sytuacji nie może być mowy ani o penetracji izb pamięci, w których niejednokrotnie można znaleźć cenne książki, ani w ogóle o penetracji tzw. terenu. Robią to natomiast wysłannicy antykwariatów poznańskich, krakowskich czy warszawskich — przypuszczać należy, że nie bez efektów. Dowodem fakt, że ostatnio pojawili się wysłannicy Bydgoszczy — co chyba świadczy także, iż nasz „teren” jest jeszcze w tej dziedzinie dość bogaty. Szkoda, że nie — lub prawie nie — z tego nie trafia na ul. Królewską, a w konsekwencji do bibliotek — Łopacińskiego, UMCS czy Pedagogicznej.

Aby być w całkowitej zgodzie z prawdą, muszę jeszcze dodać, że niedawno urządzono kąciki antykwaryskie w księgarniach przy ul. Bieruta w Lublinie oraz w księgarni w Puławach. Ale rzeczywistość są to tylko kąciki, nie posiadające praktycznie żadnego znaczenia.

Dyrektor Wł. Wójcik zapewniał mi, że właśnie przystępuje do pierwszego etapu ofensywy antykwaryskiej. Odpowiednie lokale przyrzekły już władze w Zamościu i w Chełmie, była także obietnica z Białej Podlaskiej, ale roz-

W ramach prezentacji dorobku lubelskiego środowiska poetyckiego oraz współdziałających z Wydawnictwem regionów opublikowano w Lubelskiej Bibliotece Poetyckiej 22 tomiki, w tym wiele interesujących debiutów, m.in. M. Kawalki „Matnia”, H. Kozaka „W krajobrazie łagodnych słów”, H. Makarskiego „W miemi stwardniałej tonac” i K. Magiły-Trochimiuk „Gorący uczynek”.

Wydano także kilka tomików poezji: ludowej i V tom „Wsi tworzącej”. Niewątpliwym osiągnięciem wydawniczym było opublikowanie „Wierszy wybranych” Józefa Czechowicza oraz „Wierszy z Rzeszowskiego” w opracowaniu J. Pleśnarowicza. Na uwagę zasługują także tomy przekładów poetyckich, m.in. „Piłśni pieśni” A. Sterna (poezja rosyjska i radziecka) oraz poezje przekładowe K. A. Jaworskiego (poezja rosyjska, ukraińska, białoruska, narodów kaukaskich, czeska i słowacka).

W omawianym okresie opublikowano także wiele pozycji klasycznych i opowieści biograficznych. Ważniejsze z nich to: „Kroniki tygodniowe” Bolesława Prusa i „Wyobraźnia stwarzająca” Józefa Czechowicza, tom zbiorowy pt. „Wspomnienia o Czechowiczu”, powieść Jana Gerharda „Luny w Bieszczadach” i Stanisława Ginki „Burza majowa” (lektury szkolne), opowieści biograficzne takich znanych pisarzy, jak: Danuta Bieńkowska, Jadwiga Dackiewicz, Tadeusz Łopalewski, Gabriela Pauszer-Klonowska, Monika Warneńska, Dioniza Wawrzykowska-Wierciuchowa, Jan Ziółkowski i wielu innych.

Lubelskie środowisko pisarskie odnotowało w tym okresie nowe debiuty prozatorskie. Należą do nich: Marii Józefackiej powieść pt. „Karlołonna gra”, Czesława Klepackiego „Fragmenty jednego życia”, Zbigniewa Kościńskiego „Spłoszony ptak”, Zygmunta Mikulskiego „Listy spod Liou”, Zbigniewa Stepka „Most”. Ponadto opublikowano

pierwszą powieść Tadeusza Czajki „Sny i przebudzenia” oraz Matyldy Welny „Ponad życie”. Na uwagę zasługuje także zbiorowy debiut lubelskich młodych twórców opowiadań „Na widnokręgu”.

W dorobku Wydawnictwa znalazło się także kilka pozycji esejistycznych oraz z dziedziny historii literatury. Są to między innymi szkice teatralne Marii Beechzy-Radnickiej „Uchylanie masek” oraz szkice literac-

ukraińskiej. Z tej dziedziny wydano również powieść autobiograficzną Tarasa Szewczenki pt. „Artysta”, a w I kwartale 1976 r. — współczesną powieść pisarza ukraińskiego Ołesia Honczara pt. „Cyklon”.

W dorobku edytorskim Wydawnictwa Lubelskiego w okresie 1971—1975 znalazło się szereg ciekawych publikacji dla dzieci i młodzieży. W tej dziedzinie dominowały pozycje pisarzy lubelskich. Poza książkami Franciszki Arnsztajnowej i Józefa Czechowicza, przeznaczonymi dla najmłodszych, wydano w latach 1971—1975 około 30 pozycji w nakładzie przekraczającym 2 mln egzemplarzy w tym powieści tak poczytanych pisarzy, jak Maria Józefacka, Tytus Karpowicz, Jadwiga Kozieradzka, Tadeusz Łopalewski, Kornel Makuszyński, Ewa Szeiburg-Zarembina, Maciej Słomczyński, Wiktor Zawada i Maria Ziółkowska.

W minionym pięcioletniu Wydawnictwo podejmowało także edycje z dziedziny plastyki, publikując albumy Zenona Kononowicza „Zwierzęta mówią”. Z innych ciekawszych wydawnictw opublikowano m.in. dwa tomy legend („Opowieści niedźwiedziego grodu” J. L. Okonia, i „Legends sandomierskie” K. Seligi), a także ciekawy opis ludowego obrzędu weselnego w opracowaniu B. L. Nycza pt. „Wesele lubelskie”.

Roczne plany wydawnicze uzupełniały edycje ciągłe: „Rocznik Lubelski”, „Kalendarz Lubelski”, „Rocznik Ogniska Nauczycielskiego”, „Lubelski Rocznik Pedagogiczny”, „Zeszyty Majdanka”, „Logopedia” i „Rocznik Świętokrzyski”.

Z ciekawszych pozycji, które ukazały się w I kwartale 1976 r., na uwagę zasługują: „Dzieci polskie oskarżają” J. Wnuka, II tom „Dziejów Lublina”, praca źródłowa „Lublin w dokumencie”, a z literatury pięknej: bibliofilskie wydanie wierszy Józefa Czechowicza pt. „Prowincja noc” i powieść dla młodzieży J. Olczaka „Szeryf”.

WYDAWNICTWO LUBELSKIE



Wystawa w Domu Książki w Warszawie przy ul. Mazowieckiej

Fot. Sokółowski

W latach 1971—1975 powiększył się również dorobek twórczy takich autorów lubelskich, jak: Ryszard Jegorow — „Synowie tej ziemi”, Waław Gralowski — „Bieg po krawędzi”, Adolf Leicki — „Nim wszędzie słońce” i „Przygoda nad siedmioma źródłami”, Zygmunta Mikulski — „Tamten Lublin”, Janusz Olczak — „Baśń o Wielkim Marandzie”, Matylda Welna — „Coctail narodowy”, Wiktor Zawada — „Szukam pana Kalandra” i in.

Wydano nowe powieści pisarzy białostockich: Ryszarda Kraški „Apostate” i Aleksandra Omiljanowicza „Ducha Białowieży”.

kie: Jerzego Lojka „Wiek markiza de Sade”, Katarzyny Meloch „Zaproszenie do kochania” i Moniki Warneńskiej „Wczasy literackie”. Na szczególną uwagę zasługuje opublikowana przez Wydawnictwo Lubelskie praca historyczno-literacka Augusta Grychowskiego pt. „Lublin i Lubelszczyzna w życiu i twórczości pisarzy polskich”, która stanowi bogate kompendium wiedzy o życiu literackim i społeczno-kulturalnym Lublina oraz regionu lubelskiego.

W roku 1974 Wydawnictwo Lubelskie powieścią historyczną Iwana Franki pt. „Zachar Berkut” zainicjowało edycję przekładów literatury

wiała się w związku z reorganizacją pionów handlowych. Wkrótce we wszystkich księgarniach w byłych miastach powiatowych mają pojawić się afisze z informacjami, że tego a tego dnia w określonej księgarni będą pracowały komisje, kupujące egzemplarze antykwaryczne. No cóż — obietnice lokalowe mają to do siebie, iż nazbyt często pozostają obietnicami, a pracującym od czasu do czasu komisjom też nie wróżę specjalnego powodzenia, gdyż dorżne działania niezmiernie rzadko przynosi trwałe efekty. Ale lepsze to niż nic — i obym się mylił w swoim pesymizmie.

Jeszcze gorsza sytuacja istnieje w handlu starymi nutami i płytami; na całej Lubelszczyźnie nie ma ani jednego antykwariatu muzycznego, chociaż wielu ludzi lubuje się w „starych nutach babuni”, a moda retro jeszcze wzmogła te upodobania. Znów jedynym wyjściem są targi staroci, indywidualny wąż i przypadek. Ile więc starych nut i płyt niszczy na strychach i w piwnicach — nikt nie wie.

Na koniec trochę ciekawostek, które ludziom mniej zorientowanym pozwolą trochę inaczej niż dotychczas spojrzeć na stare książki.

Otóż niedawno w antykwariacie przy ul. Królewskiej sprzedano egzemplarz herbarza „Korona Polska” Kaspra Niesieckiego (zmarł w Krasnymstawie w 1744 roku) za 24 000 złotych. Podobno cena nie była wygórowana, jako że rozeszła się wiadomość, może plotka, iż przygotowywana reprodukcja offsetowa ma być jeszcze droższa. Cena wydaje się nieadekwatna do mocno już przebrzmiałej treści. Dla naukowców herbarz ma swoją wartość jako źródło wielu wiadomości, ale dla osób prywatnych? Okazuje się, że też. Znany historyk i bibliofil lubelski, inż. Henryk Gawarecki, taki sam herbarz kupił przed dwudziestu laty za 5000 złotych. Książka więc, książka wartościowa okazuje się znakomitą lokatą kapitału, chociaż inżynierowi nie o to przecież chodziło. Dla odmiany ma z nią wciąż kłopot, bowiem przychodzą ludzie prosząc o dokonanie fotokopii takiej czy innej strony — bo nazwisko takie samo więc można się przyznać do antenata hetmana, wojewody czy chociażby podsędką. Niezbądane są pokłady snobizmu ludzkiego.

Było swego czasu dużo dyskusji w związku z wydaniem „Trędowatej”. Krakowski egzemplarz kosztował oficjalnie 80 złotych, dziś trzeba za niego zapłacić przynajmniej 150. A prywatny antykwariat p. Osiałka sprzedał niedawno w ciągu 20 minut pięć egzemplarzy tej powieści wydanej w Kanadzie (po polsku) po 250 złotych. Książki Antoniego Marceżyńskiego po ostatniej adaptacji jednej z nich w telewizji skoczyły ze 100 złotych do 120 złotych, czyli o 20 procent. Powieściidła Courths-Mahlerowej dorównują ceną „Trędowatej”, a podobno najłatwiej można je kupić w Kielcach. Nie ma zaś tygodnia, aby w Lublinie nie pytało o nie kilka osób i to z wyglądu kulturalnych. Antykwaryczna cena albumu „Picasso” wynosi 840 złotych i ma tendencję wzrostową, chociaż w księgarniach była jeszcze niedawno po cenie oficjalnej 700 złotych. Za wydaną na 25-lecie Domu Książki wewnętrzną książkę, rozdawaną zainteresowanym bezpłatnie a więc bez ceny, płacono po 500, a nawet 600 złotych. Najbardziej jednak poszukiwane w antykwariatach są pamiętniki, nawet powojenne, książki dotyczące numizmatyki, wojskowości, a także komplety czasopism przedwojennych.

Zdarzyła się też, przed kilku laty, zupełnie niezwykła historia. Otóż grupa kilku młodych mężczyzn z Wrocławia, po występach w kilku innych miastach, włamała się do księgarni Domu Książki ni rogu Krakowskiego Przedmieścia i Szopena, a następnie skradzione tam książki sprzedawała w antykwariacie tego samego Domu Książki przy ul. Królewskiej. Operacja lubelska ograniczyła się do 2 tys. złotych, „ogólnopolska” sięgnęła 100 tys. złotych.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do zasadniczego problemu. Nie ulega wątpliwości, że Zjednoczenie Księgarstwa powinno zrewidować i to dość gruntownie swoje stanowisko wobec antykwariatów, mówiąc inaczej — wobec starych książek. To powinien być handel, ale nie tylko handel, bo chodzi także o wartości kulturalne, nieraz unikalne. Warto by może pokusić się o jakieś naśladownictwo pasji Hieronima Łopacińskiego — tylko z pominięciem tych przypadków, gdy poczyty profesor po prostu buchał jakaś książkę w ziemianskich bibliotekach.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

WSPOMNIENIE Z WAKACJI

Z tamtych wakacji zapamiętałem krowę ze złamaną nogą i jej spojrzenie kiedy wieźliśmy ją ze stryjem na największym wozie ze wsi do rzeźni w pobliskim miasteczku

Miałem wtedy piętnaście lat i pamiętam to wszystko gdyż stryj był słabego zdrowia i kiedy rzeźnik oddzielił łeb i kopyta należało tę krowę rozłożoną na czynniki mięsa zanieść na wóz A ja który na widok niewielkiego ochlapu na kotlety dostawałem mdłości nosilem w rękach półcie po dwadzieścia i więcej kilogramów a wszędzie jeszcze ciepło i ociekające krwią

Trzeba było tę górę mięsa sprzedać Na szczęście zaofiarował ktoś swe usługi za trzysta złotych i trzy kilo wołowki Zgodziliśmy się bo ani stryj ani ja nie mieliśmy o handlu pojęcia

Kiedy mieszczanie szczęśliwi z takiego obrotu sprawy wyciągali z zębów resztki jedzenia ja i stryj jechaliśmy do domu Wieźliśmy trochę kości zawiniętych w krowią skórę

Pamiętam także moją niebieską koszulę poplamioną krwią

SPOTKANIE W CIEMNEJ ULICY

*Skulił się
Włos zjeżył
Wzrok we mnie wlepił
Złoty
Miauknął
jakby on smokiem był
a ja świętym Jerzym*

ROZMAWIAM z ludźmi poważnymi, a w każdym razie dorosłymi — dyrektorami i prezesami, których łączy (ale raczej dzieli) jedna inwestycja. Wydawałoby się, że na tym etapie przynajmniej wobec kogoś z zewnątrz, powinni mieć uzgodnione stanowiska. Lecz nie. W sferze informacji panuje niejasność, kociokwik jakoby. W rzeczywistości zaś wygląda, iż poprzednie zabawki zostaną zniszczone i zmiecione pod łóżko, ponieważ są już nowe zabawki. Tylko że poprzednie zabawki kosztowały kilka milionów złotych i powstaje sprawa, kogo to powinno obchodzić?

Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Michowie i jej dyrektor, Janusz Zmudziński, należą do uszczęśliwionych na siłę. Oto relacja dyrektora Zmudzińskiego. Były trendy w województwie lubelskim, żeby w przyspieszonym tempie hodować trzodę chlewną. Wiosną ubiegłego roku zafundowano michowskiej Spółdzielni dwie ogromne wiaty do odchovu 1800 warchlaków, aczkolwiek SKR nie posiada, z własnych gruntów, odpowiedniego zabezpieczenia paszowego dla takiej hodowli. Materiał hodowlany, czyli wsad, kupowali od zakładów mięsnych, słaby i niejednorodny, w sumie 1598 sztuk. Wiaty kosztowały ponad pięć milionów złotych, przystosowane są wyłącznie do chowu letniego. Ale wsad słaby, hodowla przedłużała się do zimy i trzeba było drewniane ściany budynków gacić słomą, żeby warchlaki nie pomarły. Dużo by jeszcze mówić o tej przyspieszonej hodowli, w każdym razie interes okazał się nieopłacalny: do każdego tucznika dołożyli w 1975 roku po 138 złotych, aczkolwiek cała SKR wyszła na 47 tysięcy złotych zysku, co w porównaniu ze stratami z roku 1974, kiedy był inny dyrektor, jest pewnym osiągnięciem.

Od Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych w Lublinie michowska Spółdzielnia dowiedziała się, że w tym roku mają jeszcze hodować w jednej wiacie pięćset świnek, lecz w drugiej już trzysta sztuk bydła, ponieważ sprawa trzody chlewnej okazała się przejściowa, przyszłość zaś w hodowli bydła. I michowska SKR w najbliższym czasie zostanie uszczęśliwiona pokazową fermą jałowizny z odchownią cieląt na 700 sztuk. Ta decyzja ma ręce i nogi, gdyż wśród upraw spółdzielczych przeważają użytki zielone, czyli istnieje dobre zabezpieczenie paszowe dla hodowli bydła. Ale kwestia, co począć z nieszczęsnymi wiatami dla świnek, leżącymi na gruntach przyszłej fermy jałowizny? Były pomysły wyburzenia, teraz się to odkręca. Dyrektor Zmudziński twierdzi, że o wyburzeniu nie wolno nawet myśleć, wiaty za drogo kosztowały i za krótko były eksploatowane. Trzeba je adaptować z myślą o hodowli jałówek!

Jest koniec maja br., znajduję się na budowie michowskiej fermy bydła. Istotnie — stoją dwie ogromne wiaty, a jedna z nich ogacona matami słomy; konstrukcje solidne, tyle że ściany z desek. Po drugiej stronie placu trwają roboty ziemne wokół nowego interesu hodowlanego, leżą zwieszony elementy dwu jałowników typu „Wielisławice” na 375 stanowisk łącznie.

Rozmawiam z dyrektorem Marianem Benetem z Okręgowej Spółdzielni Budownictwa Wiejskiego w Lubartowie, która jest generalnym wykonawcą fermy. Te dwa budynki „Wielisławice”, wraz z kanalizacją i podłączeniem wody, mają być ukończone na początku przyszłego roku, lecz równocześnie we wrześniu br. wykonawca zamierza wejść z pracami na drugi etap, czyli pawilon zabiegowo-lekarski, budynek kwarantanny i budynek odchovu cieląt. Gdzie? A tutaj! Dyrektor Benet robi szeroki gest ręką, pokazując obie wiaty do hodowli trzody. I one muszą zniknąć, żeby zrealizować ten plan.

Jaki plan, co za plan? Pochylamy się nad planem zagospodarowania terenu, wykonanym przez Wojewódzkie Biuro Projektów Budownictwa Wiejskiego w Lublinie, generalnego projektanta fermy bydła w Michowie. W poprzek istniejących wiat

widzę wyrysowane trzy budynki drugiego etapu, o jakich mówi dyrektor Benet. Kto będzie burzył wiaty? Może i lubartowska OSBW, licząc po 100 tysięcy złotych od jednej rozbiórki. Odzysk materiałów budowlanych z tego tytułu — gdzieś w granicach miliona złotych. Idzie o demontaż całkowity, także instalacji wodnej, kanalizacyjnej i siłowej, ponieważ nowe obiekty staną w zupełnie innym układzie. Z istniejących obiektów plan zagospodarowania przewiduje do zachowania: studnię wierconą, zbiornik na gnojówkę, stację trafo i ustęp drewniany. Ale wybudowane kosztem ponad pięciu milionów złotych wiaty, od-

ly mniejsze urodzaje i zaczęto myśleć o hodowli bydła w oparciu o bazę SKR-owskich użytków zielonych. Tak właśnie w Michowie. Ta akcja dobrze się rozwija w związku z przejmowaniem przez SKR gruntów z Funduszu Ziemi.

Jeśli idzie o fermę bydła w Michowie, to na razie jest realizowany tylko pierwszy etap, czyli jałowniki typu „Wielisławice”. I na ów etap dokumentacja dopiero się kończy. Wiat nie ruszą w tym roku, ani może nawet w przyszłym. A jeśli ruszą w ogóle, to w sensie adaptacji na odchownię cieląt pod zasiedlenie „Wielisławic” w Michowie i bukaciarni w Chodlu i Jeziorzanach.

nie z tym zleceniem WBPBW opracowało pierwszą wersję planu zagospodarowania terenu, zatwierdzoną i podpisaną przez wszystkie zainteresowane strony dnia 31 XII 1975 roku. Ten plan mi pokazano, jak i następane dokumenty dotyczące całej historii.

24 stycznia br. z inicjatywy WZKR nastąpiła zmiana programu inwestycji, spotkanie zainteresowanych; czytamy notatkę służbową z owego spotkania, gdzie m. in. napisano: „Istniejące obiekty dla trzody chlewnej (wiaty dla sezonowego tuczku) przewiduje się do likwidacji z uwagi na ich nieprzydatność dla celów odchovu cieląt, ponieważ zarówno konstrukcja, funkcja i usytuowanie tychże względem stron świata nie odpowiadają wymogom technologicznym dla tego typu obiektów, nie wyłączając sprawy ich ucieplnienia” (podpisał m. in. Ewa Pawłęga, starszy specjalista Wydziału Inwestycji i Budownictwa WZKR w Lublinie; czyżby prezes nie pamiętał, co parę miesięcy temu podpisywała starszy specjalista?).

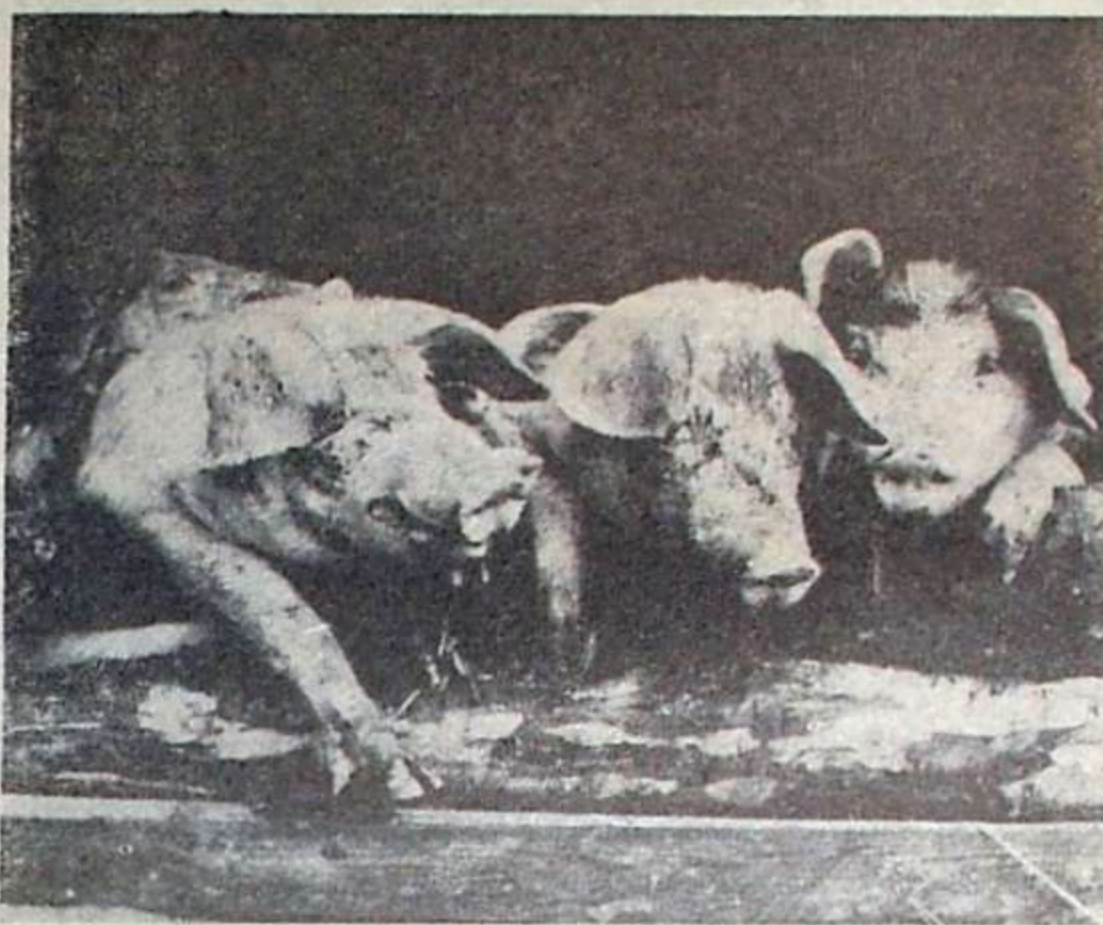
O żadnych dwu etapach inwestycji nie było mowy. Nowa wersja planu zagospodarowania została przez WBPBW sporządzona (ta, którą oglądałem w Michowie i u prezesa Oleszka), przedstawiona WZKR, i zatwierdzona przez 19 lutego 76 r. („uzgodniono bez zastrzeżeń”, podpisał m. in. Ewa Pawłęga itd.). Owa wersja obowiązuje nadal i zakłada likwidację wiat. Szczegółową dokumentację, w oparciu o zatwierdzony plan zagospodarowania, zamierza opracować WBPBW do końca czerwca br. (może WZKR o tym nie wie?).

Czy to będzie pokazowa, nowoczesna inwestycja? Dyrektor Łotocki sugeruje pewne wątpliwości. Mają kłopoty z wykonawcą, który jest młodą jednostką, ma z kolei kłopoty ze sprzętem i materiałami budowlanymi, żąda więc od projektanta wczorajszych, a nie dzisiejszych, rozwiązań materiałowo-konstrukcyjnych (np. zbiorniki przeciwpożarowe). Czy projektant nie widzi, że tu się zanosi na zmarnowanie kilku milionów złotych? Widzi, ale projektant ma zlecenie, umowy, terminy i tego musi się trzymać, a za zburzenie wiat nie odpowiada. Dla istniejącego programu inwestycji — tych wiat wykorzystać się nie da, i nie ma w ogóle możliwości przedprojektowania, chyba żeby powrócić do pierwotnej koncepcji: z jednej strony jałowniki, z drugiej strony odchów trzody chlewnej. Straci się wtedy wprawdzie kilkaset tysięcy włożonych w przygotowanie dokumentacji, ale uratuje kilka milionów.

Przyznam, że ostatnia sugestia wydaje mi się jedynym możliwym rozwiązaniem w tej szczególnej i zawikłanej sytuacji. Bo sprawa michowska istotnie jest szczególna, i jeżeli o niej piszę, to nie dlatego, by uogólniać, lecz by po prostu przestrzec. Przed stylem zarządzania, gdzie jedna sprzeczna decyzja goni drugą, a wszystkie do końca nie przemyślane, chwytne i tymczasowe. Przed takimi rozmowami z przedstawicielem opinii publicznej, podczas których usiłuje się robić z partnera dyskursu przysłowiowego balona. Przed stylem myślenia: ja mam przepisy, umowy i nie musi mnie obchodzić, że się zanosi na straty społecznych pieniędzy, bo ja za to nie odpowiadam. Przeciwnie bierne postawie i obawom jednostek terenowych, jeśli trzeba się przeciwstawić niesłusznym decyzjom nadrzędnym. Zainteresowani dobrze wiedzą, kogo fragmenty tej litanii dotyczą!

I jeszcze na koniec trzeba powiedzieć, że nie wszystko daje się przeliczyć na pieniądze. Kto wie, czy od straty owych kilku milionów złotych nie większa byłaby w tym przypadku strata społeczna. Każda SKR jest propagatorką, chcąc, nie chcąc, idei nowego i nowoczesnego gospodarzenia na wsi. Co sobie pomysła o takim gospodarzeniu rolnicy Michowa i okolic, gdy zobaczą, że ukończone niedawno obiekty zostaną rozebrane, a grube pieniądze idą na zmarnowanie! Przeciwnikiem fermy bydła w Michowie nie jestem, ale uważam, że jej budowa nie powinna się odbywać takim kosztem, bo tu nie idzie o zabawki, które można zniszczyć i zmieść pod łóżko.

ZABAWKI



HODOWLANE

Maciej Podgórski

dane do eksploatacji w maju ubiegłego roku — mają zniknąć! Czyli około czterech milionów złotych w błoto! Dyrektor Benet powiada, że oni robią, co do nich należy. Mają plan zagospodarowania, splota szczegółowa dokumentacja i tego muszą się trzymać.

Na odjeździe z Michowa dowiedziałem się od Bogdana Piskorskiego, kierownika Zespołowego Gospodarstwa Rolnego SKR Michów, że adaptacja wiat na cielętniki sezonowe, czy nawet całoroczne, byłaby możliwa i znacznie tańsza niż wyburzenie wiat i stawianie nowych cielętników.

Ale to wszystko nie są żadni partnerzy dla prezesa Bolesława Oleszka z Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych w Lublinie, i prezesa tak bardzo nie interesuje, co mówią jacyś tam dyrektorzy czy kierownicy z oddziałów terenowych. W WZKR panuje absolutna jasność w sprawie inwestycji michowskich. Oraz innych zresztą.

Był trend, żeby hodować trzodę chlewną, bo w magazynach GS zalegały tony pasz przemysłowych, nie wykupionych przez rolników indywidualnych, więc było zaplecze paszowe dla trzody chlewnej. Budowano sezonowe odchownię trzody w SKR. Trochę prowizoryczne i tymczasowe myślenie? Może i tak. Trend paszowy się zmienił, przysz-

Co z trzema budynkami, które mają stanąć w poprzek wiat? Te budynki zostaną przesunięte na dół. Prezes pokazuje palcem ową sytuację w planie zagospodarowania, choć gołym okiem widać, że „na dole” niewiele się już zmieści, a teren wokół otoczony lasem. Po co więc robiono kompleksowy plan zagospodarowania? Gdyby szło o drugi etap, to tylko taka wizualna sprawa, absolutnie nie przyjęta przez Zarząd WZKR, zaś dokumentacja drugiego etapu jeszcze w ogóle nie rozpoczęta przez WBPBW w Lublinie. Będzie rozpoczęta, gdy Zarządowi WZKR przedstawi się program inwestycyjny drugiego etapu. Jasność!

Tyle prezes Oleszek, i dla ukojenia wątpliwości, po co opracowywać kompleksowy plan zagospodarowania, jeśli się go w całości nie akceptuje — udaje się do głównego projektanta, właśnie do Wojewódzkiego Biura Projektów Budownictwa Wiejskiego w Lublinie, gdzie przyjmuje mnie dyrektor Tadeusz Łotocki, przedstawiając stanowisko swojej firmy.

Wedle pierwotnego zlecenia WZKR miały stanąć w Michowie jałowniki „Wielisławice” i obiekty towarzyszące. Z drugiej zaś strony placu, przy zachowaniu stref ochronnych, miał być prowadzony w istniejących wiatkach odchów trzody chlewnej. I zgod-

Bogusław Wróblewski

TANIEC

czuję twój taniec
rozpływają się w nim
bosa stopy
i kołysze się niebo
musnięte piersiami

pośród dawno zgasłych drzew
które uzdrawiasz

wplatając w nie pasma włosów
czuję twój taniec
wzdłuż przyprószonych dymem taśm tęczy
w sierści zaszczytów zwierząt
między milknącymi ptakami
czuję twój taniec
w powietrzu splekanym
od żaru zgonionych oddechów
czuję twój taniec
pod namiotem ziemi
podziurawionym kulami
który coraz słabiej chroni
przed „wiatrem historii”
czuję twój taniec
pod słońcem

pulsującą grdyką dnia
zlizującego nam z ramion potoki potu
czuję twój taniec
w głębi własnego ciała
czuję twój taniec
jedyną siłę
zdolną powstrzymać
harmonijny Rozpad Ostateczny

czuję twój taniec
gdy stajesz się kobietą
rzucam pod twoje stopy
myśl złapaną za słowo
związdele żdźbła liter

MATURA 76

Dokończenie ze str. 1

waga podjęcia rozważań na ten temat, mimo że szkoła nie wyposaża w wystarczający zasób wiedzy o współczesnej sztuce. Chciałoby się wtrącić w tym miejscu: nie tylko o niej, także o literaturze i samej współczesności. Można się dziwić, że pedagogzy kilka razy czynią uwagę o o d w a d z e podjęcia tych problemów, skoro takiej cechy abiturientowi w tym wypadku nie potrzeba, wystarczy zainteresowanie wcześniejsze niż w maturalnym maju, pogłębione widzenie zagadnień współczesnych, czyli po prostu wiedza. A tej najczęściej brak. Jest to aż nazbyt widoczne potwierdzenie faktu, o którym głośno przy okazji rozpatrywania i ustalania programu nauczania w przyszłej dziesięciolecie. Uczciwe wyznaczenie nauczycielki o tym, że „szkoła nie wyposaża w wystarczający zasób wiedzy o współczesnej sztuce” należy rozszerzyć.

Nadal można dowiedzieć się od uczniów szkół średnich, że poloniści dużo czasu poświęcają na scholastyczne dociekania: „co Mickiewicz chciał przez to powiedzieć”, że nader długo walcują epoki do romantyzmu włącznie, plus pozytywizm i Młoda Polska, a natomiast prądy literackie wieku, w którym ich słuchacze żyją, „przechodzą” raczej pośpiesznie. To prawda, że dotychczasowy program języka polskiego w szkole średniej także narzuca nauczycielowi takie propozycje, ale prawdopodobnie i sam polonista wciąż jeszcze tkwi w starych nawykach i swoją żarliwość spożytkowuje dla literatury epok minionych, okres międzywojenny i teraźniejszość kwitując wyselekcjonowaną liczbą utworów kilkunastu autorów. Miejscami zresztą i znajomością rzeczy przez niektórych polonistów także musi budzić obawy. Jeśli polonista kwestionuje „Siłaczkę”, jako utwór drugiej połowy XIX wieku, który kształtował działania i postawy obywatelskie młodych Polaków, to wiem, że raczej pośpiesznie — ocena prac z dnia na dzień — spowodował tę niesprawiedliwą uwagę, każąc Zeromskiego zaliczać wyłącznie do pierwszego ćwierćwiecza wieku dwudziestego. Jeżeli jednak neguje zaangażowanie Mirona Białoszewskiego w sprawy współczesności?

Rozumiem, że nauczyciel w nawale zajęć nie musi znać wszystkich filmów polskich. Niewątpliwie wyposażony jest jednak w inteligencję, a więc i możliwość choćby niepełnej oceny. Tymczasem autorzy prac niejednokrotnie szafowali tytułami filmów historycznych na udowodnienie, że one pomagają „w rozumieniu wielkiego przełomu, jakim stał się socjalizm” i że niosą one „odpowiedź na pytania: skąd idziemy, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy”. Na udowodnienie tej tezy w wylizanych jest „Kopernik” oraz „Kazimierz Wielki” Petelskich i sienkiewiczowskie filmy Jerzego Hoffmana, no a nade wszystko w „Pustyni i w puszczy”. I taki „przewód dowodowy” przepuszczają bez zajęcia stanowiska skądinąd uznani i zasłużeni poloniści!

Uważa lektura prac maturalnych związanych z tematyką współczesną, napisanych w czterech lubelskich liceach, pozwala wesprzeć poprzednie moje tezy o drugorzędym traktowaniu literatury mówiącej o nowej rzeczywistości. Wygląda to tak, jakby nie zachęcano ucznia do wyjścia poza batalistyczne i martyrologiczne doświadczenia pisarzy. A przecież napisali oni książki nowe. Abiturient, który otrzymał piątkę, zrzędził sobie: „W dziale prozy z wyjątkiem Romana Bratnego i Jarostawa Iwaszkiewicza, nie ma wybitnych pozycji traktujących o budowie socjalizmu i o pierwszych latach władzy ludowej”. Stwierdza ponadto, że „Poezja współczesna nie potrafi zdobyć sobie szerszego zainteresowania, co z góry przekreśla jakikolwiek jej wpływ na szerszą grupę ludzi... Pozostaje w cieniu, jest mało zrozumiała dla przeciętnego Polaka, którego życie wypełnia pogoń za meblami, za mieszkaniem — za miejscem dla dziecka w żłobku”. Ale równocześnie ten sam Polak, jak się okazuje dalej z tekstu, ma czas na czytanie wyłącznie kryminałów, gazety i oglądanie telewizji.

Wiele tu spraw pomieszano naraz. Chłopak nie jest jednak łaskaw zbyt często nawet dla wybitności umiowanego Bratnego, bo woła: „Dlatego jedyny

ratunek dla powieści Brandysa czy Bratnego, to ekranizacja”. Równocześnie w sprzeczności z tym, co wyżej, jest zdanie: „Literatura i film podejmują zagadnienia bardzo bliskie współczesnemu człowiekowi”. Logiki więc brak: jest aż tak dobrze, czy aż tak źle? A opinia polonisty? Niestety taka: „Ujęcie problemów interesujące, syntetyczne i rzeczowe. Praca wskazuje na pełne zaangażowanie emocjonalne w rozwinięciu zagadnienia. Osobiste, niezależne sądy (szczególnie ocena współczesnej prozy, poezji i filmu oraz ich roli) świadczą o inteligencji i dojrzałości autora”.

Można się zastanawiać czy tematy piąte zostały przez Kuratorium Oświaty i Wychowania w Lublinie dość szczęśliwie sformułowane, na pewno jednak mogą być dobrym probierzem stopnia oddziaływania szkoły średniej na przyszłego absolwenta, stopnia jego zainteresowania współczesnym życiem narodu, jego emocjonalnego i ideowego stosunku do socjalistycznego ustroju, a wreszcie zakresu znajomości literatury i filmu, które tę

Tegoroczni abiturientzi w liceach ogólnokształcących województwa lubelskiego na piśmie egzaminie dojrzałości z języka polskiego mieli do wyboru pięć przedmiotów im przez Kuratorium Oświaty i Wychowania tematów. W liceach o profilu humanistycznym przystąpiło do tego egzaminu 407 osób, a w grupie o charakterze podstawowym, matematyczno-fizycznym i biologiczno-chemicznym — 3062 abiturientów. Obie te grupy miały oddzielny zestaw tematów. Zamieszczamy je poniżej, a w nawiasach podajemy liczbę uczniów, którzy wybrali dane zagadnienie.

W liceach ogólnokształcących o profilu humanistycznym tematy brzmiały następująco:

- „Świat, życie, piękno i siwa” w twórczości M. Reja i J. Kochanowskiego (140).
- Dokonaj oceny, w jakim stopniu literatura Młodej Polski czerpała z

ideowych i artystycznych tradycji romantyzmu (23)

- Wykaż, w jakim stopniu Stefan Żeromski zrealizował swój zamysł twórczy, zawarty w słowach: „Napisać muszę książkę, gdzie wypowiem, że historia mego czasu była przedmiotem badania i bólu mego serca” (115).

- Sposób traktowania przeżyć i doświadczeń II wojny światowej w literaturze polskiej ostatniego trzydziestolecia (99).

- Jakich działań i postaw obywatelskich wymagali od młodzieży pisarze polscy drugiej połowy XIX wieku, a jaką rolę wyznacza się pokoleniu młodych Polaków po VII Zjeździe PZPR? (30).

Natomiast w liceach ogólnokształcących o profilu podstawowym, a także w dziennych zawodowych oraz w technikach sformułowano je następująco:

- Wykaż, że literatura polska doby odrodzenia, stanowiąca część ogólnoeuropejskiej kultury renesansu, miała przede wszystkim charakter narodowy (193)

- Uzasadnij, że bohaterami utworów Marii Dąbrowskiej byli: „pozyteczni, dzielni ludzie, którzy kochali dzień powszedni i konkretną pracę”. (219)

- Wpływ literatury romantycznej na kształtowanie postaw bohaterów literackich następných epok. (324)

- Przedstaw i oceń drogi życiowe Stanisława Wokulskiego i Zenona Ziemowicza oraz wykaż przyczyny klęski każdego z nich. (241)

- Udowodnij słusność słów Edwarda Gierka, że literatura i film Polski Ludowej „pomaga w zrozumieniu wielkiego przełomu, jakim stał się socjalizm i niesie odpowiedź na pytania: skąd idziemy, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy”. (165)

rzeczywistość odzwierciedlają i współkształtują. Wychowanie obywatelskie zależy zresztą nie tylko od polonistów. Ci ostatni zbierają przy tej okazji żniwo niedomagań wykładów z historii, z propeutyki nauki o społeczeństwie, a także pozostałych przedmiotów, które do wychowania powinny znaleźć okazję. Nie można jednak rozrzęzać polonistów, jeżeli ich wychowankowie prawie wcale nie potrafili się powołać na literaturę swojego czasu, a posilkują się jedynie nazwami filmów na jej podstawie powstałymi. W pewnym starym już liceum jest z tą sprawą nieco lepiej, szczególnie gdy chodzi o współczesną poezję, jednak autorzy prac poprzestają jedynie na formalnej analizie wierszy, nie mogąc się zdobyć na przymierzenie ich do wybranego tematu. Natomiast sam problem zbywają sloganami. Tematy współczesne podjęło 195 spośród 3469 abiturientów, a więc zaledwie 5,6%. Mało, niechby jednak przynajmniej ci, którzy wybrali zagadnienia teraźniejszości, umieli na ich temat napisać więcej ponad hasła: „Nauką i pracą przyczyniliśmy się do podniesienia rozwoju gospodarczego kraju”, „Jutro jest dzisiaj”, „Dzisiaj wykuwamy kształt przyszłości”, „Twoja wiedza, żarliwość i młodzieńczy zapał ludowej ojczyźnie” oraz „Zbudujemy nową Polskę”. Albo: „Państwo zapewnia nam...”, „...w dobie socjalizmu” — i tu z reguły znowu następuje wylizanka znanych osiągnięć. Ale nie za pośrednictwem książek, wierszy, prozy i filmu!

W świetle tych prac nasuwa się pytanie: jakie są poglądy młodych ludzi? Odpowiem krótko: uznające socjalizm jako coś zupełnie naturalnego i godnego kontynuacji poprzez pracę i szacunek dla elementarnych wartości etycznych. Oczywiście praca maturalna na ten temat może być pisana także z innych pobudek, ale i w tym nie trudno się rozeznąć. O języku tych prac pisałem wyżej, bywają jednak wyjątki pozwalające na pewną wyrozumiałość. Jakże jednak mało wspierania się literaturą bądź filmem! Znowu pozwól sobie na kilka cytatów:

ła i słuszenie postawiła dziewczynie obok znak zapytania).

„Jesteśmy realizatorami celów nakreślonych w okresie pozytywizmu”.

„Nienawidzimy aktu przemocy, brzydzimy się rozlewaniem krwi niewinnych ludzi, chcemy spokoju na świecie”.

„Odbieramy z rąk naszych rodziców kraj rozbudowany, wysoko rozwinięty pod względem gospodarczym i — przede wszystkim — wolny. Naszym zadaniem jest więc tempo tego rozwoju Polski nie tylko utrzymać, ale zwiększyć je... Obecnie, kiedy poziom ekonomiczny kraju decyduje o jego miejscu w świecie, nie możemy stać z boku i patrzeć, jak pracują inni”.

„Przyszłość nie wiąże się tylko z pracą, to jest także umiejętność korzystania z czasu wolnego”.

„Dziś praca nabiera cech patriotyzmu. Naszym bohaterem jest człowiek, który potrafi pogodzić pracę zawodową z pracą społeczną i oczywiście z prawem do osobistego szczęścia. Ani my, ani młody pozytywista nie miałyby trudności w zrozumieniu hasła: Twoja wiedza, żarliwość i młodzieńczy zapał Ludowej Ojczyźnie”.

„Wierzę, że przyjdzie kiedyś taki czas, kiedy powiem, że Polska jest państwem komunistycznym... zbudowanym od podstaw w okresie mojego życia”.

„Przecież od nas, od młodego pokolenia, zależy jakim krajem będziemy w przyszłości i w jakich warunkach będziemy żyli”.

Jakże tego wszystkiego pragnąłby się dowiedzieć za pośrednictwem ładnego języka, no i żeby egzemplifikację tych stwierdzeń czerpano z wybitnych dzieł współczesnych twórców!

A jakie jest zdanie samych zdających? I nie tylko ich?

Tadeusz Jasiński

OKO -lice sztuki -ki

Dialog z Jackowskim realistą kieleckim

W MAJU w małej sali lubelskiego BWA otwarto indywidualną wystawę malarstwa Krzysztofa Jackowskiego, określonego przez autora wstępu do katalogu mianem „realisty kieleckiego”. W tym skromnym wydawnictwie, pozbawionym zresztą spisu prac, co należy uznać za potknięcie edytora, znalazło się również coś w rodzaju „programowej wypowiedzi” artysty napisanej z właściwym Jackowskiemu wdziękiem prawdopodobnie w pracowni malarza przy ul. Mazurskiej 40 w Kielcach, gdzie panoszy się buldog (pies zwany bokserem) oraz bywa zaprzyjaźniony z tym domem magister Paprocki, zasłużony muzealnik świę-

tokrzyski, silnie kochający region, podobnie jak magister Alojzy Oborny, dyrektor tamtejszego Muzeum Narodowego.

Bardzo osobisty i szczerzy ton owej „wypowiedzi programowej” zachęca mnie do dialogu z autorem. Dodatkowym argumentem za przyjęciem takiej właśnie formuły jest fakt, że była ona chętnie stosowana w literaturze średniowiecza, a twórczość Jackowskiego jakoś tam, w sposób przewrotny, nawiązuje do owej epoki, z pewnym upodobaniem eksponując: ćwiartowania, gwoździobicia, duchownych pożywających dary boże, alegorie strachu i męczeństwa, mordy straszne i dziwotwory, anioły i szatany, walkę dobra ze złem. Sprawę komplikuje nieco fakt, że bohaterowie sadystyczno-moralizatorskich opowieści Jackowskiego ubrani są w całkiem współczesne garnitury, nawet zespół „udwadniającej” artysty, że nie ma racji” (przy pomocy bąka) odzian został w to, co można nabyć w kieleckich sklepach. Na szczęście — mam na uwadze interes interpretacyjny — przedstawiony artysta jest nagi, a wmanewrowany w coś w rodzaju tzw. gąsiora, czyni gesty świętych męczenników, znane z obrazów dawnych mistrzów. Można zatem porozmawiać.

Jackowski: — Jestem bardzo dobrym malarzem i na wskroś oryginalnym. Oglądając obrazy innych osobników dochodzę do wniosku, że to, co robię ja — nie da się porównać z niczym twórczością.

IJK: — Fakt. Choć w 1971 roku, z okazji wystawy mistrza w warszawskiej „Kordegardzie”, usiłowano przypisać Wasze obrazy do nowej figuracji. Chyba dlatego, że Duda — Gracz dopiero wstępował. Te swoje wstrętne metafory maluje mistrz już lat kilkanaście. Dlaczego, dlaczego w ogóle malarstwo?

Jackowski: — Powodem dla takiego maluję, jest nuda — jestem w tak szczęśliwej sytuacji materialnej, że w zasadzie nie potrzebuję parać się pracą rąk ani umysłu, żeby prowadzić dom na najwyższym stopniu życiowej — nudzę się permanentnie.

IJK: — Przekorę w tym wyznaniu czuć na miłą, kokieteryjną nawet. Ale... pewien chłop z nudów sioła podpalił. W mistrza obrazach też sporo ognia i gwałtu, lecz trudno ustalić, kto katem a kto ofiarą, kto dobry a kto zły. Aniołowie mają rogi na czolach, diabły — skrzydła na plecach.

Jackowski: —... Każdy przedmiot, każda postać jest głęboko przemysłana — kompozycje obrazów zawierają transcendentne i ponadczasowe wartości. Człowiek znudzony, jak życie ucy — widzi więcej i lepiej niż przeciętny, zapracowany zjadacz chleba powszedniego. Ja jestem człowiekiem znudzonym absolutnie, tym bardziej że po chlebie tyje (węglowodany).

IJK: — Polecam chleb chrupki, który zapewni smukłą sylwetkę i zdrowie, a tym samym nastraja przyjaźnie do świata.

Jackowski: — Widzę... świat ludzi nie w zwierciadle jakimś, lecz takim, jakim jest naprawdę. Na ludzi patrzę nie jak na wrogów — ja ich obserwuję z miłością wielką i ukontentowaniem. Żeby nie być gołosłownym przytoczę tu opis obrazu i opowiem, jak obserwacja zmusiła mnie do przedstawienia konkretnych ludzi...

IJK: — Sztuki się mistrza trzymają, albo co? Ja w tych obrazach szderstwo postrzegam z ludzkiej mocy, chwały pozorowej i szeregu „świętych” wartości. „Tatusz pokazuje synkowi niesfornych obywateli” i ciach! — biedaków widelcem.

Jackowski: — Obraz nr 9 przed-

stawia cudownego człowieka, Bogusława Paprockiego, który walczy ze śmiercią — zafascynowało mnie to bezinteresowne bohaterstwo, tym bardziej że skądinąd wiem, że walka ta jest beznadziejna. Obok przedstawiłem pana Janusza Kuczyńskiego, uosobienie siły i zdrowia, a zarazem człowieka kumulującego w sobie cechy damsko-męskie. Siebie przedstawiłem jako pastera psów-radiestety znajdującego prawdę. W tle góry domowe Zeromskiego i moje. Nie często zdarza się widzieć obraz tak jednocześnie apelujący do zdrowego rozsądku...

IJK: — Akademię Sztuk Pięknych ukończył mistrz w Krakowie w 1960 roku i niemal od razu zaczął malować obrazy figuralno-metaforyczne, z właściwą sobie ekspresją. Wszyscy robili w tym czasie informel, więc jak to tak?!

Jackowski: — Nim zacząłem malować, stan ciągłego znudzenia doprowadził mnie do przeróżnych konfliktów z otoczeniem; dreczyłem muszki, pastwiłem się nad bliźnimi, maltretowałem rodzinę i przyjaciół. Będąc w podaszym wieku ożeniłem się z nudów, co nie wyszło na dobre ani mnie, ani sztuce, zaopatrzyłem się więc w psy, które zlikwidowały zachwianie równowagi.

IJK: — Tworzy mistrz dla potomności czy dla pieniędzy? A może dla dobra sztuki samej?

Jackowski: — Obrazy pokazuję, gdzie się da, sprzedaję — komu się da. Bardzo lubię malować na zamówienie. Aktualnie na zamówienie maluję portret pana Dyrektora Alojzego Obornego w akcji — będzie to bardzo chwalebny portret — pieniądze uzyskane ze sprzedaży jak zwykle ofiaruję jednemu z moich uczniów.

IJK: — Zamawiam u mistrza portret, może być trumienny.

IJK

NAŁĘCZÓW: NADZIEJE

(Dokończenie ze str. 1)

Sprawy ekspertyzy planu przestrzennego i popełnianych błędów lokalizacyjnych poruszył już red. Dostatni w swym artykule, pod którym podpisuję się obiema rękami. Wydaje mi się tylko zbyt optymistyczne stwierdzenie autora, że podany przez naczelnika miasta i gminy, Edwarda Zdonka, 3-letni termin opracowywania samego planu zagospodarowania jest — jego zdaniem — zbyt wydłużony. Znając tempo opracowania planów, nie byłabym taką optymistką, a wzięwszy pod uwagę kłopoty, jakie następcza każda inwestycja (dokumentacja, limity, kredyty itp.), oraz tempo, w jakim np. wznoszono szpital kardiologiczny w Nałęczowie, sanatorium gospodarki komunalnej, a obecnie buduje się sanatorium PKP (już w tej chwili kilka terminów ukończenia uległo przesunięciu), obliczam, że w nowym Nałęczowie — uzdrowisku z prawdziwego zdarzenia na wzór Cielochocinka czy Kołobrzegu — będą już chyba bywać nasze dzieci w podeszłym wieku. Wtedy te piękne widzy, zarysowane szczytowo w warunkach konkursowych, a więc należącego do urzędnika z Domem Kuracjusza, wielkim Zakładem Przyrodolecznictwa, ołbrzymim parkiem, wyposażonym w różne korty do zajęć rehabilitacyjnych, z obwodnicą, przebiegającą z dala od uzdrowiska, ze sklepami usługowymi z prawdziwego zdarzenia, przyobleką się w rzeczywistość. Ten termin wydaje mi się tym bardziej odległy, że w planach Nałęczów — słusznie zresztą — ma spełniać wyłącznie funkcję uzdrowiska z niezbędnymi usługami, a jego przedmieściem, w którym skoncentruje się ruch turystyczny, polowa budownictwa mieszkaniowego dla pracowników uzdrowiska oraz większe placówki usługowe dla potrzeb mieszkańców nowych domów i wsi, będzie Bochoćnica.

A więc znowu takie wieloletnie oczekiwanie skłoni władzę Nałęczowa do tymczasowych posunięć, niesłusznych

z punktu widzenia nie tylko wyglądu uzdrowiska, ale ekonomicznego, np. budowanie jakichś małych sklepików, brzydkich kiosków, mini-barów itp. Moje obawy nie są wcale bezzasadne. Trwające 14 lat wyczekiwanie na wiążące i ostateczne decyzje odnośnie Nałęczowa przyniosły już wiele takich nieprzemyślanych, choć niewątpliwie podyktowanych dobrą wolą posunięć. Np. ponad milion złotych wydano w ub. r. na oczyszczenie i obmurowanie stawu, co jednak nie przyniosło spodziewanych rezultatów, gdyż ciągle jeszcze woda spływająca po deszczu z szamb i ścieków przedostaje się do rzeczki, a stąd do stawu. Tymczasem dalsze inwestycje kanalizacyjne nie zostały rozpoczęte i połowa mieszkańców Nałęczowa musi utrzymywać szamba. A więc znowu odwrócona kolejność porządkowania uzdrowiska. Przykładów takich można przytoczyć więcej. Był czas, że MHD, Spółdzielnia „Ogrodnik” i Zarząd Spółdzielni Mleczarskich deklarowały postawienie swoich pawilonów dla otwarcia placówek z prawdziwego zdarzenia. Obiecańki, cacanki... Gdy przyszło do konkretnych rozmów, „Ogrodnik” otworzył mały sklepik, MHD się w ogóle wycofał, a WZGS z jednej strony zazdrośny jest o konkurentów, z drugiej zaś nie zamierza wiele inwestować, uważając, że jeden Wiejski Dom Handlowy, w którym handluje się po trosze wszystkim, wystarcza dla potrzeb okolicznych wsi, zaś kuracjuszy przyzwyczajonych do sklepów Warszawy, Katowic, Łodzi, w ogólnie nie bierze pod uwagę. O Domu Kultury aż wstyd wspominać — dwa miniaturowe pokoiki klubowe, wykwaterowana z Urzędu Gminnego biblioteka i kino ze starymi filmami, które obeszły już wszystkie ekrany — to wszystko, co kryje się pod tą szumną nazwą, PKS, który zapowiadał gromkim głosem zbudowanie dworca autobusowego, ograniczył się do postawienia pawiloniku, a motel, który właśnie jest na ukończeniu, obliczono zaledwie na 40 osób, jakkolwiek wiadomo, że Nałęczów stale odwiedzany jest przez rodziny kuracjuszy. Nie wspomnę już o problemie

restauracji i kawiarni z prawdziwego zdarzenia — dobrze, że przynajmniej prywatne kawiarenki które ostatnio wprowadziły dania barowe, ratują sytuację.

Dyrekcja FWP, z których korzystają w przeważającej większości ludzie chorzy na serce, wykazuje niezrozumiałą bez troskę w sprawie rozbudowy, czy choćby generalnych remontów domów wczasowych. Część budynku poczty, w którym mieściły się pokoje FWP, od lat jest zamknięta, groziła bowiem zawaleniem, na każde jednak żądanie poczty, by oddać jej te pomieszczenia dla zainstalowania przyznanej nowoczesnej centrali automatycznej, dającej bezpośrednie połączenia z Lublinem i innymi miastami, FWP stawia veto. Dyrekcja FWP, która nie tylko nie interesuje się w ogóle Nałęczowem, ale nawet nie podejmuje rozmów z władzami miejscowymi, ograniczyła się do polecenia wynajmowania kwater dla kuracjuszy, wielu więc ludzi chorych na serce mieszka aż w Bochoćnicy w prymitywnych pokojach i po błocie odbywa wędrówki do stołówki. Można mówić jeszcze o Głęboźnicy, która na skutek braku nawierzchni coraz bardziej się zapada, a skarpa grozi obsunięciem, o nieoświetlonych ulicach, o najbardziej, jakie można sobie wyobrazić, prymitywnym dojściu do dzielnicy za rzeczką. Ale to sprawy od lat znane. Szczytem natomiast niedawnych posunięć było postawienie dla „upiększenia” parku kosztownych ławeczek jednoosobowych bez oparcia, brzydkich i niewygodnych, oraz małych budek niby to w stylu zakopiańskim. Tak powstał m. in. kiosk ze słodyczami (niemal beużyteczny, bo nieczynny w niedziele) tak ma powstać kilka innych kiosków. Za kilka lat trzeba będzie burzyć te prymitywne budki i okazać się, że znowu wyrzucono w błoto pieniądze, z których największy profit miał chyba jedynie projektodawca.

Niewątpliwie z dużą dozą dobrej woli, po wielu dyskusjach odnośnie lokalizacji, wybudowano jako zaczątek przyszłej dzielnicy mieszkaniowej cztery spółdzielcze bloki mieszkalne (w tym jeden sanatoryjny), co jest jednak kropla w morzu potrzeb. I nie można się potem dziwić że do Nałę-

czowa trudno ściągnąć lekarzy-specjalistów, pielęgniarki. A przecież zakłady — w tym wypadku uzdrowisko oraz inwestorzy nowych sanatoriów — miały nie tylko dbać o zabezpieczenie mieszkań, ale także partycypować w kosztach inwestycji komunalnych. A tymczasem naczelnik urzędu miasta i gminy, który ma bardzo ograniczone środki, ciągle słyszy: dajcie mieszkań!

Marazm władz centralnych, zwłaszcza Zarządu Dyrekcji Uzdrowisk, ciągle zmiany władz miejscowych oraz dziwna stagnacja samych mieszkańców — ograniczających swe zainteresowanie jedynie do własnego podwórka — oto, w czym, moim zdaniem, należałoby upatrywać pecha jedyne w Polsce uzdrowiska. Rzecz jasna nie chciałabym być jednostronna w widzeniu spraw Nałęczowa. Jest pewna grupa — niestety nieliczna — zapalcieców, która stara się robić coś pożytecznego i interesującego dla Nałęczowa i w Nałęczowie. Dni Nałęczowa z należącego do Dyvertimento weszły już do tradycji i nabierają rozmachu. Stałe koncerty Filharmonii w sali balowej, wystawy w hallu Pałacu Małachowskich, ciekawe wystawy prac uczniów, zwłaszcza w Szkole Plastycznej, plener należącości — oto inicjatywy godne przykłaśniania. Ale to tylko odświeżające jaskółki, bo np. prac eksponowanych na wystawie Szkoły Plastycznej nie ma w kiosku pamiątek należącości, który straszy pseudo-sztuką regionalną, a wystawy w hallu Pałacu to znówu miniformy, gdyż nikt nie zatroszczył się, by urządzić salę wystawową z prawdziwego zdarzenia (także nadawałby się do tego celu tzw. domek grecki!).

I ja jednak spróbuję zarządzić się pewną dozą optymizmu od red. Dostatniego. Miejmy nadzieję, że po naradzie z lutego br., na której zapadły bardzo ważne decyzje dla Nałęczowa, m. in. w sprawie doprowadzenia gazu, rozpoczęcia drugiego etapu kanalizacji oraz budowy elektrociepłowni pozwalającej na likwidację lokalnych kotłowni, zacznie się ten nowy etap prawdziwej troski o Nałęczów i konspiracyjnego myślenia o jego dniu jutrzejszym, a także dzisiejszym. Wiele zależy tu będzie nie tylko od operatywności należącości władz dyrekcji uzdrowiska i Towarzystwa Miłośników Nałęczowa, ale też od władz wojewódzkich i centralnych.

Halina Chabros

STASZIC W HRUBIESZOWIE

Bożena Siedlecka-Wasilewska

NAJBARDZIEJ wzruszającym momentem sesji naukowej, poświęconej obchodom 150-lecia śmierci Stanisława Staszica, zorganizowanej w Hrubieszowie w dniach 5-8 czerwca br. przez Urząd Wojewódzki w Zamościu, Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie i UMCS pod hasłem „Stanisław Staszic i Zamojszczyzna”, było wystąpienie starego rolnika z Dziekanowa — Mikołaja Misana. Posługując się gwara spod Hrubieszowa, w krótkim wystąpieniu opowiedział on o wielkim dziele Staszica, jakim było nadanie chłopom swojej ziemi i zorganizowanie w 1816 r. Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego. „Staszic najlepiej widział naszą nędzę. Wychowałem się w kurnej chacie, w której nie było komina a dym zatrzymywało się, żeby było ciepło. Szlachta nie chciała dopuścić chłopów do szkoły i kultury — a Staszic to widział. Wiedział, że bez szkoły człowiek nic nie znaczy. Pokazał nam, jak należy żyć i kierować gospodarką, kazał budować inne domy, pozwolił wycinać las, ale i kazał go sadzić” — tak wspominał człowieka, którego pamięć kulturywują jeszcze do tej pory rolnicy spod Hrubieszowa.

Stanisław Staszic zakupił w 1801 r. na nazwisko Anny Sapieżyny — będąc z pochodzenia mieszczaninem nie mógł według ówczesnego prawa kupować ziemi — dobrą hrubieszowskie. W ich skład wchodziła część Hrubieszowa oraz wsie: Jarosławiec, Czerniczyn, Dziekanów, Podbereżany, Bohorodyce, część Szpikółos i Putnowic. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego Staszic został ich prawnym właścicielem i oddał ziemię chłopom, część pozostawiając do wspólnego użytkowania przez zrzeszonych w Towarzystwie Rolniczym Hrubieszowskim. Jego członkami byli przeważnie chłopcy; szlachcice i mieszczanie należeli do wyjątków. Członkowie Towarzystwa zobowiązani zostali do pomagania sobie w nieszczęściach i dziedzicznego użytkowania ziemi.

W 1817 r. Towarzystwo zainicjowało działalność banku kredytowego, który zaczął przynosić bardzo duże korzyści mieszkańcom Hrubieszowa.

Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie było przedmiotem ciągłej troski Staszica. Jeszcze w przeddzień śmierci polecał TRH opiece Kajetana Koźmiana i prosił, żeby bronił je „...równie od zbytecznego mieszania się rządu, jak i nadużyć tych, których nad nimi przełożyłem, a szczególnie nie dozwolił skalować obmowom i plotkom”.

Główną rolę w podnoszeniu wiedzy i świadomości polskiego chłopca powierzył Staszic szkołom elementarnym. TRH powołało na swoim terenie 6 placówek szkolnych. Sam Staszic, kiedy został radcą Komisji Edukacji Narodowej, sporządził osiem projektów architektonicznych szkół wiejskich. Jak na owe czasy, były to niezwykle nowatorskie propozycje, bo dom taki miał składać się z sieni i mieszkania dla nauczyciela, z co najmniej jednej klasy i sieni dla uczniów. Projekt przewidywał, że okna będą otwierane.

Podróżując po biednych i zacofanych wioskach Staszic spotykał tylko kurne chaty, co znów skłoniło reformatora do opracowania kolejnego projektu: domu mieszkalnego dla chłopskiej rodziny. Do dziś zachował się sztych budynku, jaki zalecał na tym terenie wznosić. Jest to już chata z kominem, pokryta strzechą, ale z otwieranymi oknami — też, jak na owe czasy, bardzo nowatorska.

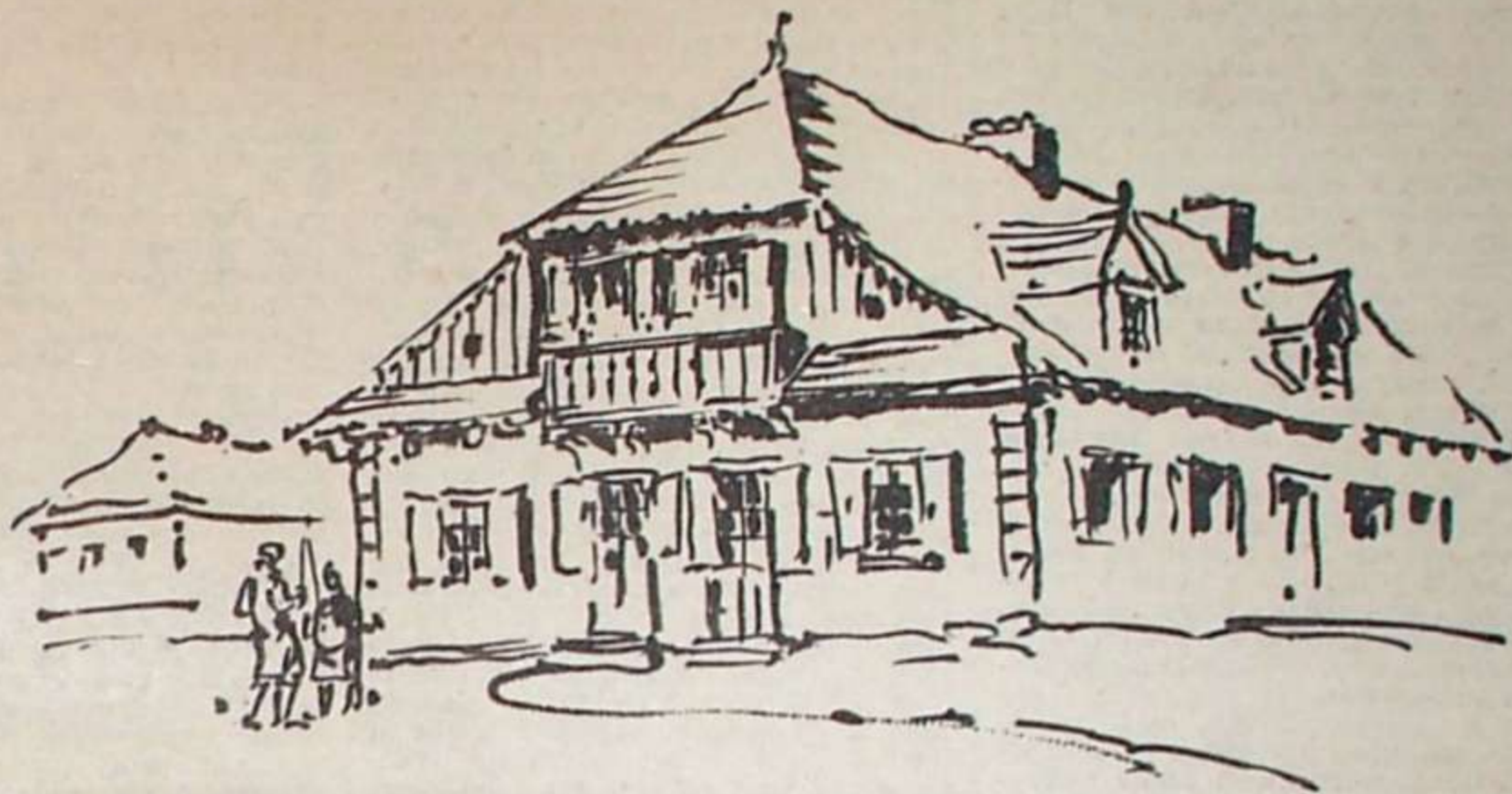
Towarzystwo przyczyniło się do rozwoju całego regionu i działało aż do 1944 r., kiedy to reforma rolna dokończyła rozpoczęte dzieło Staszica. Działalność tego wybitnego człowieka nie została zapomniana w Hrubieszowie i okolicach, mimo że większość swojego życia spędził on nie tutaj, ale w Zamościu — pełniąc obowiązki nauczyciela synów Andrzeja Zamojskiego. Jeszcze do tej pory mieszkańcy składają wianki świeżych kwiatów pod jego pomnikami w Hrubieszowie, Dziekanowie i Jarosławcu.

Tradycje staszicowskie na tych terenach kulturuje Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie. Po-

wołała je w 1960 r. grupa zapaleńców, którzy chcieli ocalić wszystko to, co świadczyło o najlepszych tradycjach regionu. Za cele główne uznali: pielęgnowanie i popularyzowanie postępowych tradycji ziemi hrubieszowskiej, ochronę zabytków kultury materialnej i duchowej, opiekę nad twórczością artystyczną, wspomaganie działaczy regionalnych.

Bez przesady, Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie jest wyjątkowo prężne. Wyznaczone cele realizuje już 16 lat. Składa się z kilkunastu sekcji tematycznych, między innymi: archiwalnej, biblio-

staszicowskiej zorganizowanej w Hrubieszowie. Czynny udział wzięli w niej naukowcy z Lublina, Krakowa, Warszawy i Łodzi, m. in. prof. dr Ryszard Orłowski (UMCS), dr Józef Duda (UMCS), doc. dr Krzysztof Jakubowski (PAN), doc. dr Zbigniew Wójcik (PAN), prof. dr Wiktor Zin (Politechnika Krakowska), prof. dr Helena Brodawska (Uniwersytet Łódzki). Jednymi z najciekawszych okazały się referaty Krzysztofa Jakubowskiego i Wiktora Zina. Pierwszy z nich mówił o zbiorach geologicznych Stanisława Staszica w Akademii Zamojskiej. Nie jest udowodnione, czy eksponaty te zgromadził



Jeden z pierwszych „domów wielorodzinnych” w Hrubieszowie

Rys. Wiktor Zin

tektarskiej, młodzieżowej, muzealnej, filmowo-fotograficznej, imprez, publikacji... Skupia kilkuset członków — także z innych miast kraju. Posiada muzeum regionalne, bibliotekę i archiwum. Corocznie wydaje biuletyny, w których przedstawia swoją działalność, plany i zamierzenia oraz opracowania dotyczące przeszłości i teraźniejszości regionu. Są to nierzadko bardzo cenne materiały. Ponadto TRH organizuje sesje naukowe i konkursy recytatorskie w celu ucieczenia najwybitniejszych ludzi związanych z regionem. Popularyzowano dorobek i postać Staszica, Prusa, Stanisława Ciesielczuka (członka grupy „Kwadryga”). Prezentowano sylwetki twórcze Jana Szczawieja, Mieczysława Buczyńskiego, Adama Szerbowskiego. Nie zapomniano o związkach Leśmiana z tą ziemią.

TRH występuje też w roli mecenasa sztuki ludowej i organizuje pokazy twórczości regionalnej: pisanek, haftów, kilimów, ceramiki, rzeźby i malarstwa.

Dorobku Towarzystwa nie można streścić w jednym artykule, jednak to, co do tej pory zrobiło, można nazwać po prostu dobrą robotą. A wszystko zawdzięcza się grupie ludzi rozmówianych w regionie. Nie było sprawą przypadku, że Wincenty Piątek, prezes TRH, otrzymał za swoją działalność tegoroczną nagrodę „Sztandaru Ludu”. Wydaje się, że credo życiowe Stanisława Staszica: być użytecznym — jest mu szczególnie bliskie.

Myśl autora „Przestróg dla Polski”: „...być narodowi użytecznym” — stała się hasłem sesji sta-

sam Staszic, czy ktoś inny, czy też twórcami zbioru byli różni ludzie. W chwili obecnej najważniejszą sprawą jest należyte jego zabezpieczenie: posiada on już wartość historyczną, a wykorzystywany do celów dydaktycznych niszczeje.

Wiktor Zin zwrócił uwagę na jeszcze jeden zabytek, któremu grozi unicestwienie. Otóż w Hrubieszowie znajduje się wielorodzinny dom z XVIII w., który można nazwać załóżkiem pierwszej spółdzielni mieszkaniowej. Obecnie przeznaczono go jednak do rozbioru... Mamy nadzieję, że władze miasta zmienią decyzję i ocala jeszcze jedna pamiątka z czasów staszicowskich.

W związku z sesją urządzono w Hrubieszowie trzy wystawy: „Stanisław Staszic w sztuce”, „Dzieła Stanisława Staszica i wydawnictwa o Stanisławie Staszicu”, „Stanisław Staszic w twórczości ludowej woj. zamojskiego”. Zorganizowano ponadto dwa plenery plastyczne pod hasłem: „Hrubieszowskimi śladami Stanisława Staszica”. Wspomnijmy też o uroczystych obchodach rocznicowych w wiejskich klubach i o II Rajdzie OHP „Hrubieszowskimi śladami St. Staszica”.

Inspiratorem tych wszystkich przedsięwzięć jest TRH. Jeszcze w tym roku czekają organizatorów inne zadania: zamierzają sfinalizować wydanie dzieł B. Prusa i książki „Hrubieszów wczoraj, dziś i jutro” oraz przygotować album o regionie. Należy im tylko życzyć, żeby ambitne zamierzenia zostały zrealizowane.

Witold Zechenter

SPÓZNIONY PODRÓŻNY

Mały dworzec wschodzi w cichy wieczór gwiazdami semaforów.
Czekam na pociąg do mej codzienności,
co przez melodię odmierzonych torów znów mi powróci zmarłych marzeń motyw.
Sapie z daleka pociąg towarowy,
biegną wagony z rozrządowej górki,
skwirczą jaskółki lokomotyw.
Pewnie mój pociąg nadjeżdża powoli,
spóźniony.

Jerzy Chłodnicki

ZEGAR

nad moją ciszą wysoki zegar
wybiła już godzina
ja nadal milczę
niepomny starości

kukułka berbecie wystukuje
raz dwa pięć
pora na kolację
a my głodni wierszy

zegar wysoki nad moją pracą
kukułka mi liczy
a ja wiersz przepisuję
stary niemądry

Stanisław Misakowski

Drzwi otwierają się i zamykają
Drzwi otwierają się i zamykają
Drzwi otwierają się i zamykają

Jak długo jeszcze mam czekać

STRAGAN Z LUDZKIMI SERCAMI

Dokończenie ze str. 11

tyków pospolite rysy, typ handlarzy z prowincji. Palce upięścinione. Na tylnym siedzeniu etola ze srebrnych bisów. Chyba towar na sprzedaż, bo dzień jest przecież upalny. Przypuszczam, że załatwia po drodze wszystkie interesy.

Władzia jest samotna, bezdzietna — tak twierdzi. A ja zastanawiam się: jak ona się uchwala?... Prowadzi zakład krawiecki i sprzedaje własne wyroby konfekcyjne. Ma dwupokojowe mieszkanie, własnościowe, nowoczesnie urządzone. Opowiada mi przede wszystkim o swoim powodzeniu u mężczyzn. Nie dają jej spokoju! Ale ona nie taka. Tylko wtedy, kiedy pokocha kogoś. Inaczej nie. Nie bardzo wiem o co chodzi, chociaż mogę domyślać się, ale nie chcę popełnić omyłki. Dowiaduję się, że dużo pracuje i że chce zwiększyć kapitał, bo zamierza zmienić branżę — na gastronomiczną. Ma już dość krawieczyny i „tych bab, które same nie wiedzą czego chcą”. Język Władzi trąci żargonem z bazaru Różyckiego. Naprowadzam rozmowę na wykształcenie. Nie ukrywa, że uczy się w szkole średniej dla pracujących. Ma ambicje. Tylko nie bardzo sobie radzi z językiem rosyjskim. Z polskiego? Same bardzo dobre oceny.

— Czy pan zna rosyjski? — zwraca się nagle z pytaniem.

— Znam, bardzo dobrze.

— Oj, to wspaniale! Będzie mnie pan podciagał!

Z tematu „naukowego” powracamy do zwierzeń osobistych. Puszczam swoją „płytę” — później ona. Rozwódka, od kilku lat. Mąż był „łajdakiem, piżakiem, awanturnikiem”, chociaż „cała jego rodzina porządna, starszy brat jest aktorem”. Mimo woli z ust jej padają słowa „mój syn napisał w wojsku... Udałem, że nie dotarły one do mojej świadomości. Zastanawiam się tylko: dlaczego ukryła, że ma syna? W szerokim uśmiechu oświadcza mi, że wyobrażała mnie sobie zupełnie inaczej. W rzeczywistości wyglądam w jej oczach korzystniejsz niż postać z wyobraźni. Lapię się na tym, że polecało to jednak moją uśmiechniętą próżność, bo nagle poprawiłem włosy i krawat.

Dochodzimy do zgodnego wniosku, że na pierwszy raz powiedzieliśmy sobie i o sobie dostatecznie wiele.

Kiedy zobaczymy się znowu? Oczywiście, w najbliższą niedzielę. W jej mieszkaniu. Zaproszony zostaję na obiad. Będzie karp w śmietanie. Sama przyrządzi. Dopiero jest czwartek — a więc do niedzieli.

Wracamy do śródmieścia. Wysiadam.

— Do niedzieli!

— Do niedzieli!

Jeszcze tego samego dnia wysłałem list ekspresowy na adres Władzi, który zawiera przeprosiny i wyjaśnienie, że dalsze podtrzymywanie znajomości uważam za bezcelowe.

Karina. Jak wam się podoba to imię?... Nosiła je kolejna partnerka, romantyczna ścigająca nieuchwytnie szczęście. Kobieta, o której bez cienia przesady można powiedzieć, że jest istotą czarującą. Młodość zachowała się w niej w sposób zdumiewający. „Na oko” najwyżej lat 28 — w rzeczywistości o całą dekadę więcej. Wszystko w niej wydawało się być rozpieszczone: głos, spojrzenie, dłoń, biodra, nawet chód. Ubrana z nieskazitelną elegancją: rzec by można — wzorcowy eksponat warszawianki. Z zawodu: historyk sztuki.

— Czego szuka?...

— Małżeństwo nie jest moim celem. To idiotyczna instytucja! — wyowiada się rozgorączkowana. — Zresztą ja nie mam jeszcze rozwodu (to „jeszcze” akcentuje mocniej). Wcale też nie spieszę się z rozwodem. Po prostu nie stać mnie na rozwód. Wyrzuciłabym krzywdę dzieckom, a tego robić mi nie wolno. Musiałabym też zrezygnować z wielu rzeczy: z samochodu, z gosposi, z wyjazdów zagra-

niczanych... To wszystko mam przy mężu, którego nie kocham. Pragnę jednak mieć przyjaciela, człowieka, który mnie będzie rozumiał i da mi coś więcej niż „złotą klatkę”. Poszukuję bratniej duszy. Chcę kochać i być kochaną. Nie chcę być zabaweczką, pieseczkiem, lalką — w rękach męża pana i władcy. To poniża ludzką godność — człowiek czuje się ubezwłasnowolniony. Kobieta ma swój mózg, może nie za bardzo doskonały, ale ma! Są mężczyźni (do takich należy mój mąż), którzy nie zgadzają się, żeby kobieta posługiwała się własnym mózgiem. Uważają, że w momencie zawarcia związku małżeńskiego, kobieta „traci” mózg i od tej chwili trzeba ją „zdalnie sterować”. Mężczyzna, który odbiera kobiecie prawo do posiadania własnego mózgu, musi utracić jej uczucie. (Po krótkiej pauzie). Do jakich mężczyzn pan należy?...

Proszę Karinę o zwolnienie mnie z odpowiedzi. A kiedy nie ustępuje, zdobywam się na odpowiedź wymijającą:

— Wiele nauczyłem się od pani. I za to dziękuję.

— Ja dziękuję za szczerość. Dlatego wolę mieć dobrego przyjaciela, czy jak kto woli kochankę — niż złego męża. Odpowiada to panu?... Nie będzie pan miał ze mną żadnych kłopotów. Mogę być tylko... trochę zazdrosna. Jest pan miły, sympatyczny i chyba dobry, wygląda pan na takiego.

— Kiedyś usłyszałem o sobie opinię kobiety, że sam mój wygląd nie budzi w niej zaufania.

— Bo to była kobieta inna niż ja, niepodobna do mnie. Pan przy niej był także inny niż przy mnie...

Zaczęłem się bać Kariny. Jej spojrzenia, jej dotykał. Mężczyzna, wbrew pozorom, to jednak słaba istota. Czu-

nie najlepsza, spóźnić się łatwo. Staram się ją usprawiedliwić i wytłumaczyć przed sobą. Zał mi odchodzić. Trwam na posterunku dalsze piętnaście minut. Nadaremnie.

Nie przyszła.

Dlaczego?... Treść jej listu, na zagranicznym ozdobnym papierze, wzruszyła mnie. Nie twierdzę, że jestem znawcą psychiki kobiet, ale między wierszami nietrudno było odczytać wielką tęsknotę ludzką. Moja wyobraźnia stworzyła nawet jej obraz: pulchna blondynka, z dołeczkami w policzkach, o roześmianych oczach barwy niezapominałek. Humanistka, z każdego słowa. Imię ciepłe i także pulchne: Ula. Chyba Julia. Romeo i Julia to brzmi pięknie i nasuwa tyle skojarzeń!

Nie przyszła.

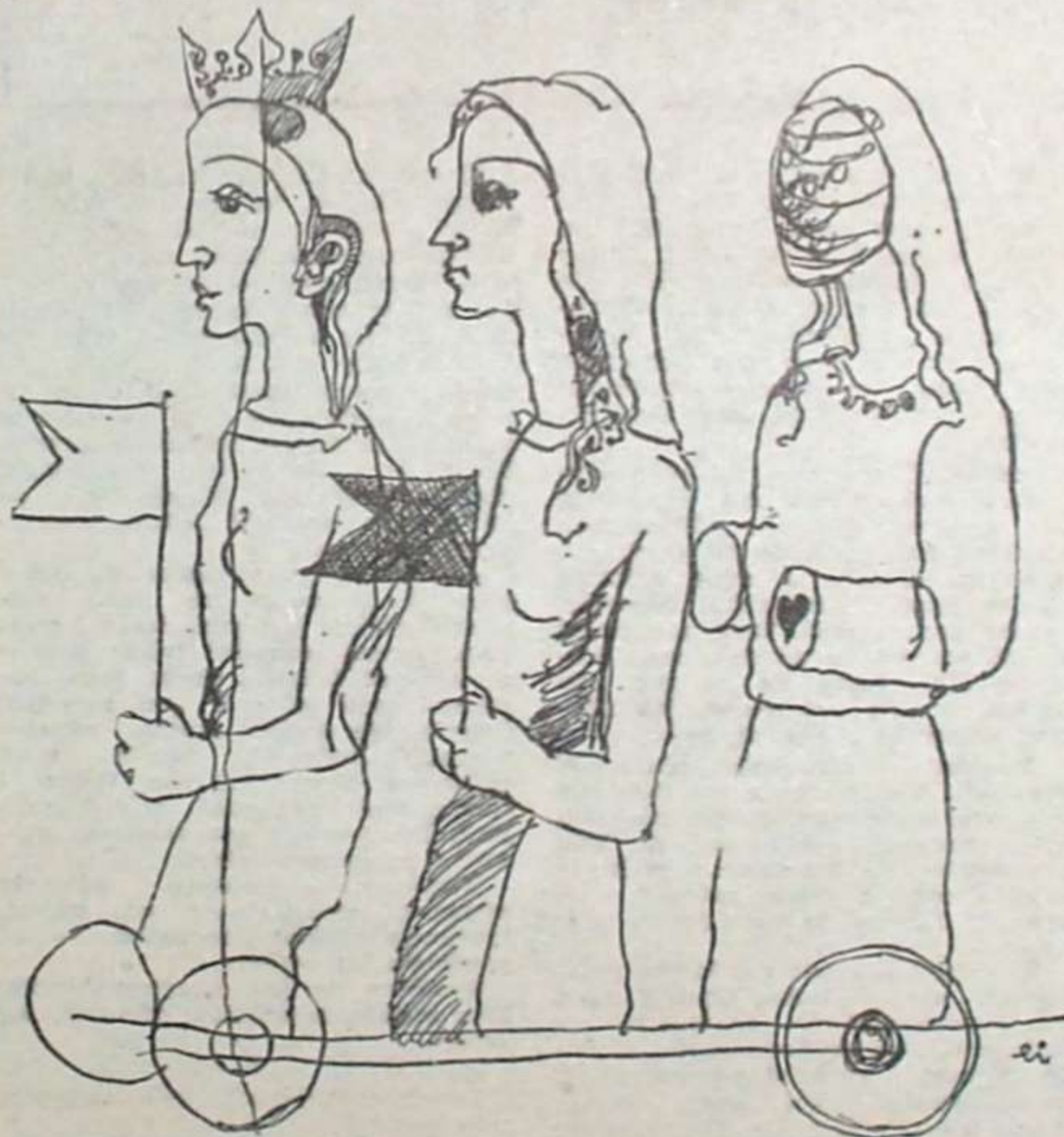
1:0 dla Uli. A jednak szkoda, że nie mogłem jej poznać. Opuszczam Klub z jakimś ciężarem na duszy. Wychodzę na ulicę. Stoję jeszcze jakąś chwilę. Trudno mi pogodzić się z myślą, że nie przyszła. Sam nie wiem czym wytłumaczyć ogarniającą mnie wściekłość. Następnego dnia przed południem mam wyznaczone spotkanie z Henryką, ale to mnie wcale nie pociesza. Henryka to Henryka. Ula to Ula.

Gdy tak stoję zadumany, podchodzi do mnie dziewczę w mini-mini, z włossem w koński ogon, o zadartym nosku, popstrzonym piegami i przepaszającą uśmiecha się.

— Czy to pan czeka na panią Ułę?

— Tak, ja czekam...

— Proszę pana... Ja i moja przyjaciółka, która tam stoi... Hanka! chodź, nie bój się!... Ja i moja przyjaciółka... Hanka! No, chodź nie bój się, wariatko!... Ale nie będzie pan się gniewał na nas?... Niech pan powie, że nie będzie się pan gniewał...



Rys. E. Angiot

lem, że może nastąpić tinał, który nie powinien mieć miejsca. Musiałbym pominąć Karinę w tej relacji, a przecież oryginalność jej poglądów zasługuje na uwagę. Siegnąłem po rezerwy moralno-zawodowe i rozstaliśmy się. Numer telefonu do Kariny przechowywałem przez kilka tygodni. Raz nawet chciałem zadzwonić...

Czas minął. Oczekałem kwadrans akademicki i zbieram się do wyjścia. Pragnę jeszcze upewnić się, czy nie zaszła jakaś pomyłka w godzinie spotkania: zaglądam do terminarza, zgadza się: „Klub Prasy i Książki, pl. Unii Lubelskiej, godzina 17.00”.

Nie przyszła.

Dlaczego?... Może da jeszcze znać o sobie. Mogło jej niespodziewanie coś przeszkodzić. Komunikacja w stolicy

— Skąd u was takie słowa, takie zwroty? Co wy możecie wiedzieć o miłości?

— No, wie pani! Przecież nie jesteśmy dziećmi. Zdaliśmy do dziesiątej klasy.

— Skąd miałycie taką papeterię?

— Irki siostra jest stewardesą w LOT — wyjaśniła Hanka.

— Czemu pozwoliłyście mi tak długo czekać? Nie było wam dość „ubawu” po dziesięciu minutach?

— My wcale nie zamierzaliśmy do pana podejść!

— A jednak podeszłyście.

— Bo nam się zrobiło pana żal. Był pan taki zdenerwowany.

— Powinienem ukarać was ale sam nie wiem jak mam to zrobić...

Kiedy widzą, że mówię te słowa bez cienia powagi, Hanka zgłasza propozycję:

— Niech pan zafunduje nam lody i dojdzie do zgody.

Zafundowałem. Miłe dzieciaki.

Henryka przyszła przede mną: może chciała wiedzieć jak wyglądam? Zyczyła sobie spotkać się ze mną w kawiarni „Ujazdowskiej”. Przystałem na to i mam ją przed sobą. Zwiądnęła twarz, zniszczona cera. Mówi krótko, urywanie, nerwowo. Zwiją papierową serwetkę i rwie ją na strzępy. Niszczy jedną, sięga po drugą. Mam wrażenie, że drżą jej ręce i dzięki tej czynności może to ukryć. Nie patrzy w oczy. Pragnie ustabilizować swoje życie. Dwukrotnie rozwiódła się. Ma zamężną córkę. Jest sama. Materialnie powodzi jej się dobrze. Ma ładny „grosz” na kieszoneczce. Jest pilotką przedsiębiorstwa turystycznego. Często wyjeżdża za granicę. „To straszne wracać do pustych ścian” — mówi przygnębiona. Siega wreszcie po dużą torbę skórzaną, stojącą na podłodze. Wydobywa z niej mnóstwo fotografii i układa stertę na stoliku.

— To moje zdjęcia z dawnych lat. Byłam tancerką. Proszę, niech pan spojrzy...

Oglądam. Młoda dziewczyna uśmiecha się do mnie z fotografii. Tak uśmiechają się szczęśliwi ludzie. Szczęśliwa dziewczyna pośród koszy kwiatów, z panami w smokingach, na Placu Świętego Marka z Wenecji z gołąbkami na ramieniu, na plaży w kostiumie kąpielowym, na estradzie z laseczką pod pachą i w cylindrze... Dlaczego pokazuje mi te zdjęcia? Przecież ja nie znam tej dziewczyny z fotografii. Nawet nie kojarzy mi się ona z osobą, która siedzi przede mną. To dwie różne kobiety. Podziwiam fotografie, zachwygam się. Sprawia jej to radość, ożywia się.

— Czemu rozstała się pani z zawodem tancerki?

— Mąż sobie nie życzył, bym występowała na scenie. Później urodziłam dziecko i zrezygnowałam zupełnie.

Dalsza rozmowa nie klei się. Henryka wyczuwa to. Jej twarz traci chwilowo odzyskaną pogodę. Czyni próby sondowania moich zamiarów. Zdobywa się na szczere wyznanie, że nie widzi naszego związku. Dziękuję Henryce za spotkanie, rozstajemy się.

Zgarnia fotografie ze stolika i chowa do przepastnej torby całą swoją przeszłość. Jest w tym ruchu coś bolesnego, wywołującego współczucie.

I chyba dość relacji.

Reszta spotkań nie wniosła nic nowego. Podobna treść rozmów, podobne sylwetki, ten sam bagaż ludzkich obciążań. Przedstawiłem reportażywo tylko te sceny i dialogi, które uważam za najbardziej typowe lub nietypowe. Nie ośmieliłem się stawiać żadnych wniosków ani wypisywać dalszych komentarzy, pozostawiam to czytelnikom. Jedni na pewno pokiwają głową, drudzy wzruszą ramionami, jeszcze inni — być może będą mieć za złe mój postępek. Chciałem jednak rozróżnić się, co można znaleźć na straganie z ludzkimi sercami.

Stanisław Majewski

OD REDAKCJI. Tekst, nadesłany przez red. Stanisława Majewskiego z Warszawy, drukujemy nie bez oporów. Jest on bowiem pewną sondą społeczną, ale sama metoda zbierania materiału przesyła dobrą ohyzją do dziennikarskim. Mamy jednak nadzieję — z uwagi na zasięg „Kamery” — że zadna z pań, które odpowiedziały na fikcyjną ofertę, tekstu nie przeczyta. Te zaś, które w przyszłości ręczą z podobnych ofert korzystając, będą — po spotkaniu się z relacją red. Majewskiego — na pewno ostrożniejsze.

czas. 2552/1946/13

minuta
myślenia

MONO

POCZTA poetycka Ernesta Brylla — oto telewizyjny fiolet, który zakwitł nam tej meteorologicznie wątpliwej wiosny. Na takiej zasadzie, co piosenkarze, zbierają się w TV autorzy wierszy i Bryll prowadzi speech na temat prezentowanych tekstów. Robi to dobrze, czy źle? Ani jedno ani drugie. Tego rodzaju imprezę można robić, tego rodzaju imprezy można nie robić — to wszystko.

Bo co by znaczyło dobrze. Nic innego, tylko to, że kandydaci na poetów zyskują wyższe kwalifikacje, a tego — mimo współczesnego postępu techniki — nie można osiągnąć za pośrednictwem zaproszenia do najbardziej nawet kulturotwórczej instytucji. A źle? Że Bryll pędrzy, co w rzeczonym wypadku nie ma miejsca, ponieważ jest to autor obdarzony specjalną zręcznością przesłizgiwania się między problemami. Ponadto — trzeba przyznać — zachowuje miarę i dystynkcję, ani nie udziela rad, ani nie wybijając z głowy, ani nie narzucając swojego poetyckiego wzorca (co zresztą można wytłumaczyć zachowaniem tajemnicy produkcyjnej). Pyta, wyraża zdziwienie, zestawia z innymi tekstami.

Czy więc Pocza Poetycka Ernesta Brylla nie przynosi żadnego efektu? Przynosi. Efekt jeszcze jednej obecności Ernesta Brylla na fali środków przekazu. Wiersze w „Kulturze”, „Literaturze”, śpiewogry, montaż estradowe — to za mało. Potrzebna jest jeszcze stała obecność w telewizji. A nie wiadomo, czy z czasem i to nie okaże się za mało, czy nie trzeba będzie pomyśleć o jakichś Ernesta Brylla spacerach po Picadilly, czy Ernesta Brylla wdzianku w uniku przed przyznaną mu rangą piątego wieszca...

Czy mam osobistą pretensję do autora „Na szkle malowanego”? Nie mam, ale, proszę państwa, wytwarza się w kulturze monopol. Jeśli reżyseria, to Hanuszkiewicz, jeśli aktorstwo, to Olbrychski, Holoubek, Siemion, ostatnio wschodzący na firmamencie Kolberger. Jeśli piosenka, to Rodowicz, Jantar, Polomski. Jeszcze parę nazwisk. Ale krąg jest zamknięty, zasady braku konkurencji ściśle przestrzegane, literatura, teatr, estrada podzielone między kilku monopolistów, którzy opanowali nakłady finansowe, środki produkcji, rynek. Może mi redaktor naczelny to zdanie wykreślić, ale jeśli naciskam guzik telewizora i widzę wciąż te same twarze (mowa nie o tzw. presenterach), jeśli otwieram numer literackiego tygodni-

ka i czytam wciąż te same nazwiska (nie mówię o publicystyce), to przepraszam bardzo, mam w tym prawo widzieć stosowanie zasady innej, aniżeli powodowanie się wyłącznie jakością artystyczną prezentowanego produktu. Dożyliśmy osobliwych czasów. Nie ma w Polsce lepszego Kmiciecia nad Olbrychskiego, lepszego Olbromskiego nad Olbrychskiego, lepszego Azji nad Olbrychskiego. Słonimski słusznie kiedyś proponował Siemionowi zagranie trzech pułków smoleńskich w „Krzyżakach”.

Czy odmawiam komuś talentu, pracowitości, jakiegokolwiek rzeczy, która jego jest? Kwestionuję tylko organizację działania artystycznego, według której nazwisko, jeśli raz weszło na orbitę, musi na niej krążyć jak sputnik. Nie mam nic np. do Zapasiewicza. Świetny aktor. Nie zapomnę go w „Maskaradzie” Lermontowa. Ale jaki był z niego Kochanowski w „Drodze do Czarnolasu” Maliszewskiego? Ironiczny, przygorzkniały, melancholijny sceptyk w stylu bardzo mieszczanśkim z końca XIX wieku. Takim Zapasiewicz najlepiej się czuje, ale nie takim był autor „Odprawy posłów greckich”. Pominiemy już niebezpieczeństwo warunków fizycznych.

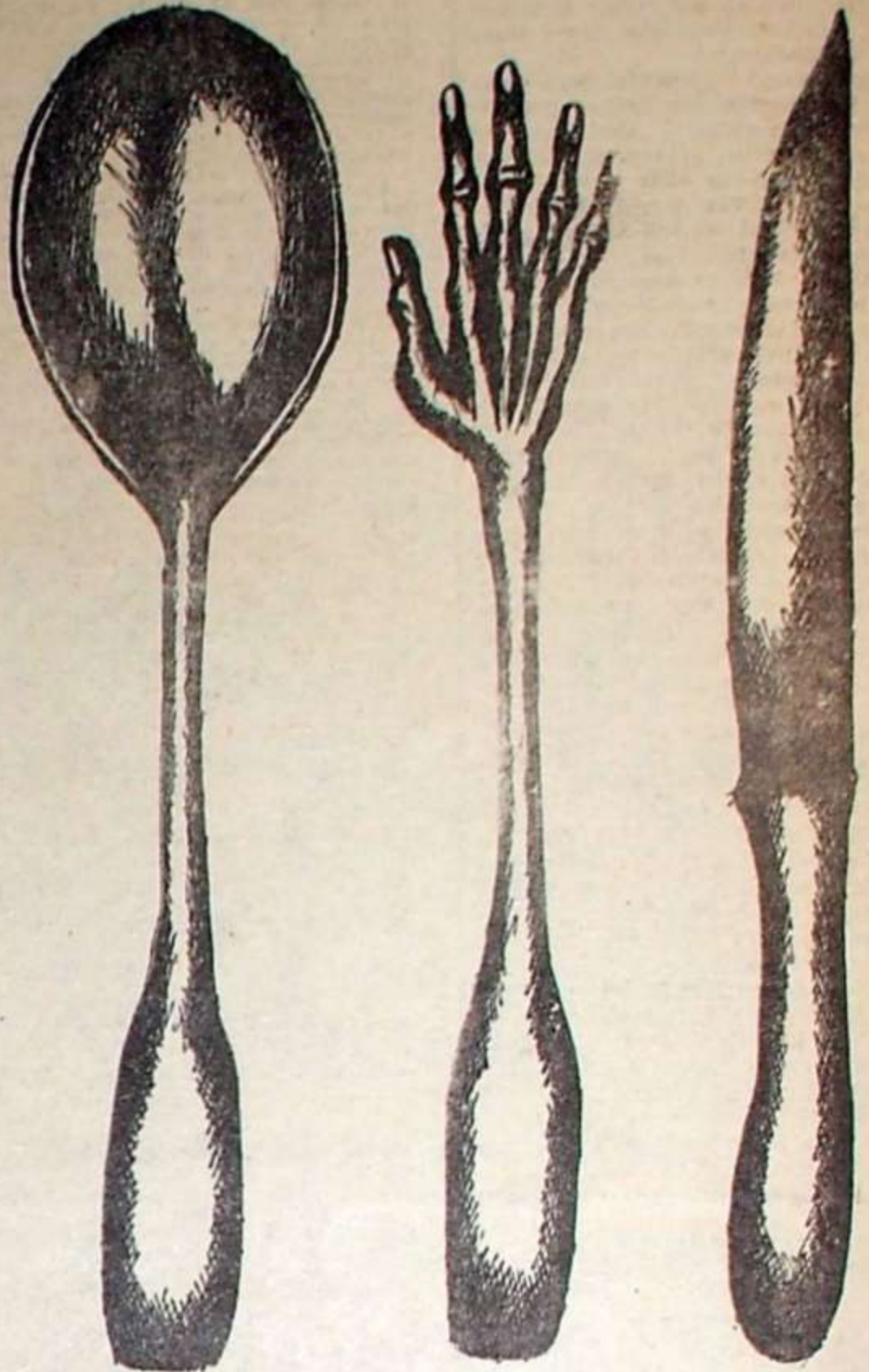
Eksploatacja, którą bardzo chętnie przyjmują eksploatowani. Czy naprawdę każdy autor to primabalerina, której wciąż mało publiczności, kwiatów, wywiadów? Przecież w ten sposób nie tylko „rozmięka się na drobne”, to znaczy przyjmuje role poniżej swych najlepszych notowań, ale z czasem przechodzi na pozycję zmniejszonych wymagań wobec samego siebie. Utało się dziwne przekonanie, że aktor, który występuje rzadko, jest aktorem złym, że dla utrzymania marki musi się wciąż przypominać.

I nie chodzi mi o „dopływ nowych sił”. To inna sprawa. Te nowe siły zresztą mogą być całkiem złe — nie mam w tym względzie wystarczającej orientacji, nie znajduję się blisko ośrodków dyspozycyjnych, decydujących o artystycznej polityce personalnej. Ale jako widz mam powód do zdumienia, jeśli widzę rotację w obrębie tych samych nazwisk. Co nowego powie mi pan X, który już tyle rzeczy „nowych” mi powiedział? Czy naprawdę jest niewyczerpanym źródłem pomysłów, koncepcji, idei? Ale wchodzi na wizję i przystraja się do tej roli poszukując innych sloganów dla treści już przez siebie samego wyeksploatowanych. Odnoszę wrażenie, że jego wypowiedź znacznie wyprzedza etap przemysłu. Które zresztą mogłyby być całkiem dorzeczne, a nawet interesujące, gdyby nie to nieustanne bieganie od studia do studia. Nie stracić okazji, nie wyjść z rytmu — oto zasada „rozwoju artystycznego”.

Mamy obecnie modę na mody. Było mini, było maxi, po trosze kończy się retro. Wymienione mono w życiu artystycznym, aczkolwiek dziś specjalnie występuje jako znamię czasu, jest chyba od mody czymś trwalszym. Cóż, poczekajmy te osiemdziesiąt lat. Może i to się zmieni.

Ijon

DZIŚ IACEK URBANŚKI



bez
tytułu

POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

— 10 —

Zygmunt jakoś wytłumaczył się przed swoim matematykiem. Zostawmy go na razie — niech spokojnie zastanowi się, co robić dalej. My zajmijmy się Elżbietą. Leży właśnie, już nieco uspokojona, na tapczanie w swoim sublokatorskim pokoju.

„Zapłaciłam się. Fatalna historia. Dziecinada. Przeklęty szczeniak...” — Myśli bezładnie tłuką się jej w głowie. „Tak, Brantwelter nigdy nie rozwiódł się ze swoją czcigodną matką...”

Na pewno. Ta sytuacja jest dla niego nadzwyczaj wygodna. Ukryte spotkania wiele go nie kosztują. Podwójne życie, ale w oczach tak zwanej opinii jest w porządku. Br. Mężczyźni są podli, podli...”

Nagle Elżbieta ożywia się. „A gdyby tak?” — Energicznie zeskakuje z tapczanu, w kuchni parzy mocną kawę, którą wypija jednym duszkiem. Jeszcze rzut oka do lustra. „Fatalnie wyglądam”. Rzeczywiście jej oczy nie mają już takiego czaru i blasku, który zawsze u mężczyzny, patrzących na nią z bliska wywoływał uczucie przyjemnego niepokoju. Ciepła kąpiel. Prysznic, migtowa parówka twarzy poprawiają samopoczucie duchowe, pobudzają prawidłowe krążenie krwi. Pachnąca, lekka znowo

czuje w sobie Elżbieta witalną siłę. Ubiera się w jaśniejsze spodnie i cienką bluzeczkę, wlatnie ją, którą Ryszard Brantwelter podarował jej po powrocie z ostatniej podróży zagranicznej. Oceniając ostatecznie przed wyjściem swój wygląd, decyduje się: „Nie będę się malować”. Na ulicy kieruje swe kroki w kierunku pierwszego automatu telefonicznego...

Brantwelter dopiero co wrócił z pracy. Syna nie było w domu. Przywitał się dość czule z żoną i uśmiechając się przymiłnie powiedział:

— Wiesz, dzisiaj będzie u nas na kolacji Rostwański. Znasz go, kiedyś pracowaliśmy razem. Przyjdzie z żoną, zaprosiłem ich, bo tak wypadło, ostatnio zatłowił mi kilka spraw w dyrekcji i jakoś do tej pory nie miałem okazji, by mu podziękować. Zrób nam coś dobrego...

— Chętnie, chociaż mogłeś wcześniej się umówić. Wiesz, jakie u nas kolejki. O której spodziewasz się tych gości?

— O dziesiętnastej.

— Muszę się spieszyć. Zjedz teraz szybko zupę.

Przyniósł talerz. Ledwo postawiła go na stole, gdy zadzwonił dzwonek telefonu. Brantwelterowa podniosła słuchawkę.

— Tak... To do ciebie, Ryśku. Kobieta — powiedziała ciszej. — Nie rzucała się przedstawić. Ależ to dziwniejsze wychowanie!

— Słucham... — Twarz Brantweltera gwałtownie pobladła. — Słucham, słucham... — chciał zyskać na czasie.

— Nie wygłupiaj się. Mówię przecież wyraźnie... — to był głos Elżbiety.

— Sprawa jest na dobrej drodze. Może pani jeszcze bliżej wyjaśni tę kwestię...

— Ryszard, nie udawaj, że rozmawiasz służbowo! Ja już mam po dziurki w nosie tego wszystkiego. Dlatego proszę cię, nie, nie proszę, ale żądam, abys był, abys natychmiast przyszedł do „Czarceji”. Czekam na ciebie pół godziny. Jeśli cię nie zobaczę, przyjdę do domu. A jeśli cię w domu nie zastanę, porozmawiam z twoją żoną. Rozumiesz...

— Nie bardzo wiem, o co chodzi. Najlepiej jutro w południe proszę do mnie zadzwonić. Do biura...

— Nie wysłaj się! Postawiałam wszystko na jedną kartę. Powiem ci coś ważnego, coś bardzo ważnego. Musisz to usłyszeć bezpośrednio. Cześć! — Odłożyła słuchawkę.

Ryszard otarł pot z czoła. „Co tu wymyśliła? Co tu powiedziała żonie? Jak się usprawniła?”

Wyciągnął z kredensu butelkę piaski i napełnił małą kieliszek. Butelka nazunęta mu pesoną myła...

— Kochanie — zwrócił się do żony, która w kuchni krociła jarzyny — musimy wyskoczyć po kontak. Spentrowałem bary i widzę, że tam prawie nic nie ma. A nasz gość to prawdziwy koneser.

— Jak uważasz. Nie lubię jednak, gdy pijesz za wiele. Co zresztą kupisz? Po kontak trzeba jeździć do Warszawy, w lubelskich „Delikatessach” króluje żytnia. Chyba że w Pewexie, ale z bonami u nas krucho. Kto to dzwonił? — Zmieniła temat.

— Kto dzwonił? Nie ważnego. Jedna dziewczyna z pracy. Klóci się, żeśmy ją nieprawie zwolnili. Ale przecież to sprawa szefa — igal jak najęty.

Już na schodach usłyszał podniesiony głos żony:

— Ryszardzie, zupy nie tknąłeś. Nie smakuje ci? — Nie usłyszała odpowiedzi.

Brantwelter zaparkował samochód pod katedrą. Prawie biegł do kawiarni. Był wściekły. „Ta Elżbieta pozwała sobie stanowczo za wiele. Rozpieściłem ją. Stanowczo jestem dla niej za dobry. Muszę ją zdrowo objechać”.

Kiedy jednak zobaczył ją — młodą, zdrową, promieniającą ciętym ciałem, znikła gdzieś jego nonszalancka odważa.

Podat jej rękę. Ucałował. Ale ona była pełna stanowczości.

— Siada! Dobrze, że jesteś, właśnie minęło pół godziny. Chciałam już płacić i wyjść.

— Dobrze, dobrze. Ja zapłacę. Wypijemy dwa wina. Na zupę.

— Nie mogę pić. Ryszard, będę szczerą. Właśnie wracam od lekarza. Będę miała dziecko. Nasze dziecko. Może pierwsze dziecko. Muszę je urodzić!

— Co, co? Niemożliwe! — Brantwelter to biadł to czerwił na przemian. — Elżbieta nie żartuj! — prawie krzyknął, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona nagłe z wody.

— To jest temat do żartów?

(dca)

Odcinek dziesiąty napisała Danuta Sanecka (zawód: technik ekonomista) z Kraśnika. „Spróbowałam i ja szczęścia — informuje w liście do redakcji. — Powieść jest fajna i szkoda, aby się zbyt szybko skończyła”. To zależy od czytelników! Na kolejny, jedenasty już, odcinek czekamy do 2 lipca! (Adres — str. 15).